Nr. 1. Poznań, Niedziela 6go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25). w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

ROK ŻAŁOBY.

Rok 1895 zamyka stuletni okres porozbiorowego istnienia. Zegar zwiastujący północ Sylwestrową zabrzmiał jak elegia i dźwięk jego rozpłynął się w żałosnem westchnieniu. Za nami wiek cały Syzyfowych wysileń,. wiek cały męki, — tej, którą historya zapisała na kartach swoich, i tej straszniejszej, która żyje w tradycyach rodzinnych. lub zginęła i ginie bez śladu w więzieniach, kazamatach i lochach północy. A przed nami mrok. Tak przestępujemy próg noworoczny: Wczoraj i dziś smutne jak dola sieroca, a jutro — znak zapytania.

Zdawaćby się mogło, że ogrom polskiej niedoli jest żywą pamięcią i świadomością w społeczeństwie naszem, bo każda godzina życia narodowego mieści w sobie ponure „Memento" wydziedziczenia. To nie bitwa przegrana, ani Jena, ani Waterloo, to rana codziennie jątrzona, to ból chroniczny, to jednem słowem niewola. A przecież, gdy ucho przykładamy do piersi narodu, zdaje nam się niekiedy, że dźwięk tej żywej pamięci gdzieś się rozpływa i tak przycicha, jak płacz zrezygnowanego i pogodzonego z losem swoim ślepca. Powiedziano o nas, że jesteśmy pesymistami i zatraciwszy w daltoniźmie naszym poczucie barw jasnych, spoglądamy na społeczeństwo jak na czarną plamę. Być może, że zarzut ten pojawi się powtórnie w prasie poznańskiej, lecz przeczucie to nie powstrzyma ani na chwilę wyznania, że zdaniem naszem poczucie krzywdy, poczucie nieprzedawnionych praw naszych tępieje w narodzie. Jest zresztą w społeczeństwie polskiem stronnictwo potężne, które półotwarcie, a nawet bez wszelkich osłonek proklamuje ideę *bezwzględnego* „pogodzenia i pojednania" i wszystkie siły wytęża, aby w narodzie zabić pamięć, wypłoszyć sny ewentualnego odrodzenia i wprawiwszy kraj cały w stan bezczułości, zamienić Polaków „w Niemców, Austryaków, lub Rosyan polskiego języka". Niechaj nikt nie sądzi, że w proteście naszym przeciw owej koteryi superlojalizmu mieści się apoteoza politycznej histeryi, spragnionej ofiar bezustannych i rozkochanej w Chrystusowem obliczu ojczyzny. Być może. że chorobliwa pożądliwość ruchów i polskiej Golgoty tuła się jeszcze gdzieniegdzie wśród niedobitków dawnych walk i szałów, być może, że gdzieś znajdują się jeszcze jednostki oderwane od rzeczywistości i wykarmione psalmami Krasickiego, które w bezustannym haraczu z krwi i życia ludzkiego upatrują świt niepodległości. — my nad tą garstką duchów przeszłości przechodzimy do porządku dziennego, ale z równą energią rzucamy rękawicę tym wszystkim. którzy program pracy organicznej i przystosowania do warunków chwili obecnej pragną zamienić w radykalne wyszarpanie idei protestu i pamięci naszej, w *tabula rasa* narodu z jedyną pozostałością ojczystego języka.

Spoglądając na ewolucyę prądów politycznych w społeczeństwie polskiem, słyszymy bezustannie charakterystyczny okrzyk rzymskiego poety: „*Dum stulti vitant vitia in contraria currunt.*" Zdaje się istotnie, że my Polacy skazani jesteśmy na bezustanną epidemią ostateczności, że uciekając na łeb i szyję z nurtów Scylli zdradliwej, ginąć musimy w Charybdzie. Zawiodła polityka uczuć, na marne poszła krew i mienie polskie w bojach o niepodległość, konwulsyjne budzenie ducha wydało zgubne owoce, więc bez namysłu. proklamując ideę trzeźwienia. z ekstremu w ekstrem płyniemy. I oto rozpoczyna się okres nowy. okres materyalizacyi społeczeństwa, kurczenia serc, hyperlojalnych umizgów. Okrzyk „Nie budźmy ducha" rozlega się coraz natarczywiej, słowo „demonstracya" staje się straszakiem. a stempel dojrzałości politycznej otrzymuje ten. który z senatorską powagą operuje monetą nowoczesnej mennicy politycznej z stereotypowym napisem: „Szukajmy chleba, nie drażnijmy, milczmy!" Hasła takie. głoszone z miarą rozumną. mogłyby oczywiście dla społeczeństwa wydać zdrowe owoce, ale dla narodu, na którym ciąży klątwa „ekstremu" łatwo z nich wyrodzić się może jednostronny utylitaryzm i narodowa apatya. Wydaje nam się, że apostołowie obecnej ewangelii politycznej w pogoni za wątpliwemi koncesyami ze strony rządów zaborczych tracą zupełnie z oka psychologiczne warunki bytu narodowego, bo nie zniszczeje wprawdzie naród, który za ustępstwa w dziedzinie szkolnictwa płaci lojalnem *placet* w zakresie walk parlamentarnych o budżet i wojsko, ale zachwiać się może w kardynalnych podstawach ten, któremu krzyczą bezustannie nad uchem prorocy jego, że każda żywsza manifestacya patryotyzmu jest objawem politycznego niemowlęctwa, każda iskra narodowej *pamięci* sentymentalnym frazesem, a konsekwentne objawy sympatyi zwyciężonego ludu dla zwycięzców wyrazem obywatelskiej dojrzałości. Czegóż dzisiaj polska „trzeźwość" nie stroi mianem demonstracyi?. Msza dziękczynna w rocznicę bitwy Racławickiej, straż obywatelska w sokolich mundurach, wstrzymanie się od balów publicznych w roku żałoby — wszystko to zyskuje miano polityki demonstracyjnej i ginie pod wyrokiem „ojców narodu" jako niebezpieczna junakerya lub chorobliwy histeryzm. Prąd ten przenikać nawet zaczyna szerokie koła młodzieży naszej. która z cynicznym uśmiechem na ustach deklamuje o trzeźwieniu narodu i zimna, oschła. przeraźliwie ostrożna ma zawsze w pogotowiu potępienie dla tych, którzy goretszych objawów ducha narodowego nie skreślili z programów swoich. Toż jeszcze w najświeższym czasie zdarzyło się w Berlinie, że *prezes* akademickiego stowarzyszenia złożył swój urząd z tego jedynie powodu. że młodzież uniwersytecka postanowiła w roku bieżącym zaniechać publicznego balu. A dyplomata ten nowoczesny nie poprzestał na prostej abdykacyi, lecz dla uwiecznienia mądrości swojej do ksiąg stowarzyszenia „*votum separatum*" przeciw żałobie narodowej załączył.

Snać jednak zdrowy patryotyzm młodzieży

nie zastygł jeszcze wśród hydropatycznej kuracyi lojalizmu naszego, jeżeli *„votum separatum“* dwudziestoletniego Filipa z Konopi minęło bez echa, a nie tracimy nadziei, że podobny los spotka poznańskie „Dzienniki“ i „Kuryery“, protegujące w roku żałoby publiczne zabawy. Naród nie powinien płakać, naród nie powinien rozpamiętywać stuletniej niewoli, naród powinien tańczyć, aby nikt nie pomyślał, że po za „Prusakiem polskiego języka“ żyje jeszcze Polak, — oto idea naszych „poważnych“ organów, — idea, z której wypływa protest przeciw zaniechaniu balów w roku żałoby i milczenie głuche o smutnej rocznicy w noworocznych numerach „Dziennika“ i „Kuryera“.

Za czyim głosem podąży społeczeństwo poznańskie tego przesądzać nie możemy, ale w pierwszym tygodniu żałobnego roku raz jeszcze słowa przestrogi kreślimy w tem przekonaniu, że rozdmuchamy iskry, przysypane popiołem fałszywej „trzeźwości“. Nie pragniemy żadnych Donkiszoteryi demonstracyjnych i odrzucamy z wszelką stanowczością wszelkie krzykliwe manifestacye narodowego bólu, ale pragniemy w dyskretne znamiona żałoby ubrać setną rocznicę niedoli naszej, aby przytępioną świadomość krzywdy przedwiekowej, poczucie odrębności i odporność naszą rozbudzić i ożywić. Być może, że postulat nasz zaliczonym zostanie do wielkiej rubryki narodowej tromtadracyi, ale nas ten wyraz nie przeraża bynajmniej, bo taką jedynie demonstracyę zaliczamy do rzędu szkodliwych czynników politycznych, której istotę stanowi dysproporcya ofiary i zysku. — która rozmiłowana w „rozkoszy cierpienia“ lub wykąpana w szale namiętnym głową na oślep o mur uderza, bez rachuby, bez rozwagi, bez bilansu straty i dorobku.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Hlas Naroda“ organ partyi staroczeskiej taki sąd wydaje o mowie posła młodoczeskiego hr. Harracha, w której twierdzi, aby utworzono jednę partyą patryotyczną czeską:

„Mowa hr. Harracha, którą był wygłosił przed wyborcami swymi w okręgu reformackim, wzbudziła w szerokich kołach patryotycznych zaciekawienie. Nad mową tą zastanawiają się ci wszyscy szczerze, którzy nie dla spekulacyi i widoków osobistych, ale dla ogólnego dobra narodu pracują. Każdy, kto widzi sromotne stosunki w kraju powita z radością myśl programu wspólnego obydwóch stronnictw, przeciw którym z jednej strony klerykalizm, z drugiej międzynarodowy ruch Omladyny występują. Ci wszyscy, którzy widzą, jakie stosunki mieć może dalsze trwanie stanu obecnego, muszą w każdej próbie akcyi wspólnej upatrywać objaw dodatni.

Mowę posła młodoczeskiego witamy nader sympatycznie, — witamy sympatycznie idee pogodzenia wszystkich patryotycznie usposobionych Czechów. Pierwszy raz tutaj uwierzyliśmy, że mówca młodoczeski mówi o sprzymierzeniu nie o podporządkowaniu jednej partyi pod rozkazy drugiej.

* * *

Młodoruskie *„Dilo“* pisze w sprawie wieca duchowieństwa unickiego, mającego się wkrótce odbyć we Lwowie:

„Duchowieństwo ruskie chce się zorganizować i postawić program jednolity, którego będzie się trzymać konsekwentnie.

„W sprawie szkolnej domaga się ono ze względu na smutne stosunki religijne i narodowe, aby u nas zaprowadzono szkoły konfesyjne oddzielające unitów od dzieci rzymsko-katolickich i żydowskich.“

„W szkołach ruskich musi być nauczycielem Rusin; pod żadnym warunkiem nie mogą być nauczycielami żydzi lub nauczycielkami żydówki, co już tak często się zdarza.

W szkole z dziećmi unickiemi i katolickiemi powinna decydować o narodowości nauczyciela większość liczebna dzieci..“

* * *

„Opavsky Tydennik“ organ Czechów śląskich pisze o zagajeniu sejmu krajowego na Śląsku austryackim, co następuje:

„Zagajenie sejmu naznaczono na godzinę 10. Gdy godzina wybiła sala była pustą, tylko kilka osób w audytoryum w milczeniu głębokiem siedziało. Pierwszym, który się zjawił, był poseł Tourk. antysemita. Swojem wystąpieniem na wiecu chłopów austryackich w Wiedniu narobił on dużo kłopotu liberałom śląskim, panującym wespół z antysemitami nad Czechami i Polakami śląskimi. Po nim zjawił się hr. Larysz, którego dziś posądzają o jakieś sympatye polskie. Stawili się wszyscy posłowie polscy i czescy, był także na posiedzeniu pierwszem książe kard. Kopp, odziany w purpurę, oraz superintendent luterski dr. Haas, któremu powiodło się wśród pastorów śląskich pozyskać agitatorów na rzecz niemieckości i poróżnić ich z katolikami.

Z powodu wystąpienia Rochowanskyego z wydziału krajowego uchwalili Czesi, aby obrano w jego miejce dr. Grudę, Niemcy zgodzili się z razu na to, ale skutkiem agitacyi p. Tourka nazwisko posła czeskiego na karteczkach skreślili. Mimo to wybór jego przeprowadzili, gdyż za posłami czeskimi i polskimi głosowali dr. Kopp, kardynał i hr. Larysz.

W końcu posiedzenia wzniósł prezydent okrzyk „Hoch!“ na cześć cesarza, wszyscy wznieśli go po niemiecku, tylko poseł Cienciała, umyślnie się opóźniwszy, zawołał: „niech żyje!“

D. K.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

Wychodząca w Toruniu „Gazeta codzienna“ zamieszcza w numerze gwiazdkowym następujące wyznanie, rzucające charakterystyczne światło na zakulisowe manipulacye konserwatywno-ugodowego stronnictwa:

„Najtrudniej redagować pismo bezstronnie i uczciwie, bo wielu polityków naszych przywykło niestety do tego, że gazety te ślepo służą jednemu stronnictwu, to z kolei ofiarują usługi swe temu, kto najlepiej płaci.

„I do nas zwracano się z różnemi propozycyami i usiłowano zobowiązać nas dla pewnych osób i kierunków, dając poznać, że nam za usługi zapłacą. Zarazem uspakajano nasze sumienie uwagą, że „to już taki zwyczaj“.

„Oczywiście odrzuciliśmy wszelkie „oferty“ z oburzeniem, bo rozumiemy, że dziennik nie może być tubą tych, którzy najwięcej mają pieniędzy i papką zyskują sobie redaktora, lecz bronić winien sprawy publicznej bez względu na osoby i stronnictwa. Tego żąda i ogół od dziennikarstwa, ale nie podoba się to ludziom, którzyby chcieli za pośrednictwem gazet wodzić społeczeństwo na pasku, kazać mu bić czołem przed sobą i przed blizkiemi sobie zerami moralnemi i umysłowemi, a ludzi niemiłych i niewygodnych, starym zwyczajem odsądzać od czci i wiary. Tacy od samego początku intrygują

---

4)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.

NOWELA.

(Ciąg dalszy.)

— Szlachetny panie! — rzekł kapitan. — Drugi raz przychodzę do was. Raz byłem jako człowiek bezbronny — znalazłem miłosierdzie i prawość. Dziś przychodzę jako przyjaciel i debitor, prosząc o gościnę na dzień jeden. Mam ze sobą kompanią żołnierzy; którym pod karą gardła nie wolno grabić i krzywdzić. Jeśli macie u siebie waszych, niech się nie trwożą. Przychodzę jako przyjaciel. Nikomu z was włos z głowy nie spadnie.

Przemowa ta nie udobruchała starego. Wróciła mu tylko panowanie nad sobą, dała mu ochłonąć z pierwszego wrażenia.

— A jeśli tobie nie dam gościny? — spytał niechętnie.

— Będzie to znakiem, że powątpiewasz pan w mój honor, lub że coś gorszego niż waszych ukrywasz.... W pierwszym razie poproszę was o satysfakcyę, w drugim będę zmuszony zarządzić rewizyę.

Niewiadomo, która alternatywa była skuteczniejszą, ale hiszpan dalej nie protestował, tylko z głębokim ukłonem zaprosił go do wnętrza domu.

Eskorta wodza uwiązała konie w galeryi, sama rozłożyła się w sieni. Pokój, od dziedzińca pierwszy zajął dla siebie kapitan. Gospodarz się oddalił, w celu, jak mówił, zarządzenia wieczerzy.

Konstanty okiem badawczem rozejrzał się po otoczeniu. Z sieni wychodziło się na dziedziniec, wyłożony kamieniem z fontaną w środku. Za tym dziedzińcem był ogród, dokoła murem obwiedziony.

Służba i domownicy Alcada snuli się wszędzie, rzucając na wrogów niechętne, ukośne spojrzenia. Konstanty czuł się śledzonym, zaprzestał obserwacyi i wrócił do swej kwatery, skinąwszy staremu podoficerowi z eskorty, by szedł za nim.

— Załoszka — rzekł — znam cię, żeś sprawny i nie gadatliwy. Weź podobnego sobie szeregowca i zróbcie mi rekonesans ogrodowego muru, nie zwracając niczyjej uwagi, jakbyście szukali winogron lub paliwa. Nie zaraz, o zmroku! Jeśli znajdziecie bramę lub wyłom jaki, jeden z nich tam zostanie ukryty, drugi niech mi tu wróci z raportem. Porozumiewać się po naszemu! Marsz i baczność.

Załoszka zrobił pół obrotu i wymaszerował, salutując.

W tejże chwili Alcad wszedł, zapraszając swego gościa uprzejmemi słowy do jadalni. Tam też ukazała się panna Mercedes. Oficer skłonił się jej z daleka, przyczem zauważył, że była kredowo bladą i tylko zachowywała jaki taki spokój.

Nie tknęła żadnej potrawy i nie podniosła ani razu swych przepysznych oczu. Na lada hałas lub odgłos z ulicy drżała na całem ciele.

Z pod oka kapitan ją badał i utwierdził się coraz silniej w powziętych domysłach. Wewnątrz wzbierał mu gniew i dzika wściekłość, hamował się jednak doskonale i toczył obojętną rozmowę ze starym, który z niebywałą uprzejmością podawał mu jadło i dolewał bezustannie ciężkiego, mocnego wina,

— Chcą mnie upoić! — pomyślał oficer, udając dobrą wiarę w serdeczność przyjęcia i szczere intencye gospodarzy.

Pod koniec uczty, gdy, zapaliwszy cygaro, żegnał się i zamierzał do wyjścia, Alcad wziął go na stronę.

— Panie oficerze — rzekł — na mocy waszego zapewnienia przyjaźni, śmiem wnosić, że ja i moi jesteśmy wolni wchodzić i wychodzić z domu i oddawać się naszym zatrudnieniom i rozrywkom bez straty i kontroli.

przeciw nam skrycie, bo do wystąpienia jawnego brak im odwagi cywilnej, a może także potrzebnego kapitału moralnego i umysłowego."

„*Postęp*" oburzony bezustannemi procesami wytaczanemi mu za obrazę osób prywatnych, — procesami, które prasa konserwatywno-ugodowa proteguje usilnie, tak się odzywa z powodu skargi wdrożonej przeciw niemu przez poznańskie władze duchowne:

„Nas teraz za lada słówko chwytają i wytaczają procesy, więc i my podobnej broni będziemy zmuszeni się uchwycić i zapowiadamy naprzód redaktorom pism dworskich, że nie będziemy mieli żadnego względu i jeśli zajdą w przyszłości jakie obrazy, tak bez wszystkiego wytaczamy skargę, drzewa na sobie nie pozwolimy rąbać, kiedy procesować się, to już dobrze, niech sądy pruskie się bogacą na polskich redaktorach, boć wszelki przykład idzie z góry."

W sprawie procesu wytoczonego „Gońcowi Wielk." i „Postępowi" o wiadomość dotyczącą malarzy pracujących w dzień Wszystkich Świętych nad renowacyą tumu taką opinję wygłasza „*Wielkopolanin*":

„Goniec Wielkopolski" popełnił błąd nie do darowania, starając się podkopać powagę Najwyższej Naszej Władzy Duchownej; „Goniec Wielkopolski" powinien bowiem wiedzieć, że kto podkopuje powagę Naszego Kościoła, tem samem narusza podstawy naszego bytu narodowego. „Goniec Wielkopolski" powinien był wiedzieć, iż takie pismo jak „Postęp" wyzyska przez niego podaną wiadomość, aby w kole swych czytelników szerzyć nienawiść przeciwko Kościołowi".

„Goniec Wielkopolski" zamieszcza w Nr. 2 następujące pytanie:

„Czemu po naszych książkach do nabożeństwa: w Litanii Loretańskiej usunięto słowa: „Królowo Korony Polskiej"? Za czyjem to rozkazem się stało? Zwracamy na to uwagę, że we wszystkich książkach do nabożeństwa, wychodzących nakładem Jałkowskiego w Grudziądzu, ten brak zauważyliśmy".

„*Pielgrzym*" pelpliński, obarczony zarzutem, że odradza od zakładania nowych towarzystw polskich w Prusach zachodnich, odpiera powyższą insynuacyę oświadczeniem, że przestrzega jedynie przed rozdrabnianiem sił i radzi już istniejące Towarzystwa udoskonalić.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Praca kobiet i stowarzyszenia zawodowe

II

Nie myślimy bynajmniej przeprowadzać porównania między zawodową pracą kobiet w Anglii i w Królestwie Polskiem. Jeżeli przeto zestawiamy stosunki nasze z rozwojem kraju najwięcej przemysłowego w Europie, to dla tego, iż stoimy właśnie na pierwszym szczeblu owego ruchu, który zjednoczył już w stowarzyszeniach tysiące pracownic angielskich.

Zarówno zaprowadzenie przemysłu fabrycznego, jak i praca kobiet w tym przemyśle, jako fakt zbiorowy pojawiły się dopiero w naszem stuleciu, a przeważnie w jego drugiej połowie (po zniesieniu granicy celnej między królestwem i cesarstwem powstała największa ilość fabryk), jest więc faktem względnie nowym.

Powtarzają się tu przecież te same zjawiska, co w innych krajach, zjawiska związane z samą produkcyą, jak przyrost liczby pracujących kobiet, względnie szybszy niż mężczyzn, przeważne użycie sił ich w przemysłach włóknistych, nizkie płace zarobne i zastosowanie pracy niewieściej do najnieprzyjemniejszych i najuciążliwszych często zajęć.

Nie mając ogólnych danych statystycznych, co do liczby i rodzaju zajętych robotników, posiłkować się tu musimy cyframi, które zebrał były inspektor fabryczny pan W. Światłowski w r. 1886 do 1888. W 800 zwiedzonych przez niego fabrykach i zakładach na 76,444 robotników było 37 procent kobiet. Porównywając z różnemi okręgami fabrycznemi Rosyi, dochodzimy do wniosku, że u nas w t. zw. urzędownie okręgu warszawskim, gdzie kapitalizm najwięcej jest rozwinięty największym był też procent zatrudnionych kobiet (we Włodzimierskim 36, w Moskiewskim 32, w Charkowskim 23). Zależy to zresztą i od rodzaju przemysłu: w zagłębiu Dąbrowskim, gdzie jest przemysł kopalniowy i huty dla przetapiania metali, praca kobiet ma nadzwyczaj mało zastosowania, w okręgu łódzkim, w Zyrardowie, w Białymstoku, gdzie rozsiadły się przemysły włókniste, ilość kobiet jest taka sama, a często większa, niż mężkich robotników. Więcej niż 50 kobiet na stu robotników znajdowało się w następujących gałęziach wytwórczości:

Przędzalnie bawełny	54	proc. kobiet
„ wełny	59	„ „
„ przędzy wigoniowej	58	„ „
Tkanie jedwabiu	55	„ „
Przędzalnie i tkalnie płótna	51	„ „
Wyrób tasiemek i koronek	55	„ „
Fabryki wstążek	62	„ „
Pończoszarnie	74	„ „
Guzikarstwo	50-56	„ „
Wyrób cykoryi	58	„ „
Wyroby z papier-maché	55	„ „
Wyrób cygar i papierosów	58	„ „

Jak widzimy z cyfr przytoczonych oprócz włóknistych przeważną ilość kobiet zajmują drobne przemysły, a ilość ta powiększy się, jeżeli do fabrycznych dodamy rzemiosła, jak kwiaciarstwo, szycie sukien i bielizny, oraz krawaciarstwo, które praca kobiet wyłącznie prawie obsługuje.

Złem nie jest, iż kobiety mają zajęcie w przemyśle, ale złem to, że dostają im się często najbrudniejsze i najniezdrowsze roboty. I tak np. w przemysłach włóknistych mycie i udeptywanie wełny w glinę, w fabrykach papieru rozbieranie gałganów, przyczem wydziela się pył zabójczy, w hutach (np. cynkowych) wywożenie i uprzątanie gorących żużli i popiołu w takiej temperaturze, jaką nieprzywykłemu człowiekowi wytrzymać trudno przez pięć minut. Te najprzykszejsze roboty należą również do najmniej płatnych, są bowiem bardzo proste i uprzedniego przygotowania nie wymagają wcale. I tak np. w hutach cynkowych robotnica zarobić może od 35—60 kop. dziennie, robotnik mężczyzna zaczyna zaś od 60 kop., a z czasem otrzymuje więcej. To samo dzieje się w przędzalniach i tkalniach, gdzie zarobek robotnicy najwyżej dochodzi do 40 lub 50 kop. w cukrowniach zadawalniać się muszą 25-30 kop. Przytem robotnica fabryczna, jak w ogóle robotnik niewykwalifikowany niema nadziei przejścia do wyższej kategoryi pracy, czas i doświadczenie przynieść jej mogą tylko niewielką podwyżkę przy płacy od sztuki, wkrótce zaś groźbę usunięcia z fabryki wskutek niedołęstwa i wieku. Jak dowodzą cyfry otrzymane np. z Zyrardowa, największej fabryki płóciennej w Królestwie i w ogóle w Polsce, kobiety pracujące w Wielkim przemyśle mają większe usposobienie do chorób od mężczyzn, 1,416 mężczyzn, którzy wzywali pomocy lekarskiej w 1887 r. było 2,685

— Powiedziałem i powtarzam — jestem tylko gościem i ludzie moi otrzymali zakaz krępowania was w czemkolwiek. Eskorta pozostanie na ulicy, a ja tylko sam w kwaterze mnie wyznaczonej z jednym służącym. Czyńcie, jakbyśmy nie istnieli! Choćby Mora nawet był u was, może pozostać spokojnie przy waszej opiece!

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł, życząc im spokojnej nocy.

W sieni czekały na niego raporty i kuryer od pułku z rozkazem, aby już; skoro świt, wyruszył dla złączenia się z głównym sztabem.

Wydał rozporządzenia, jeszcze raz powtórzył zakaz gwałtów i nadużyć w miasteczku i zamknął się w pokoju.

Szaro już było. Zamiast spocząć, usiadł przy olejnej lampce, wydobył „Plutarcha" i, wstrząsany tysiącem gorączkowych myśli, począł czytać półgłosem Brutusowe czyny, wypogadzając się dziwnie pod wrażeniem nadludzkich poświęceń i bohaterstwa. Było zupełnie ciemno, gdy mu ordynans zameldował Załoszkę.

Stary podoficer wszedł zaraz potem i z mazurska zaraportował:

— Znaleźliwa scelinę w murze, krzakami okrytą, Gruda tam się ostał na strazy. A ja se wróciłem. Zreśtą nigdzie ni bramy, ni furty. Całusienki mur i okrutnie wysoki.

— Nikt was nie dojrzał?

— Ni zywa dusa. Wino tam takie gęste jak u nas chmielniki.

— To dobrze, Zostaniesz tu i możesz się kłaść spać. Nie będę ciebie więcej potrzebował. Wezmę tylko twój płaszcz, a ty, zanim wrócę, ztąd się nie oddalaj.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Konstanty przywołał ordynansa, oznajmił że spać będzie i nikogo widzieć nie chce, potem go odprawił, ułożył ułana na swej pościeli, okrył z głową, sam wziął jego płaszcz i kaszkiet, popróbował pistoletów, szablę wziął pod rękę, płaszczem się po oczy otulił i wyszedł. Warta przy eskorcie puściła kolegę, zamieniwszy hasło, wszystko wróciło do spokoju, tylko chwil kilka odgłos kroków się rozlegał po kamieniach, potem i to umilkło. Konstanty wpadł między winne krzewy i, nie oddalając się od muru, szukał wzmiankowanego wyłomu. Nie dostrzegłby go, żeby nie ciche gwizdnięcie i czarna postać, co się nagle podniosła z rowu za jego zbliżeniem:

— To ty, Gruda?

— A ja! — odparł szeregowiec, ziewając. Nie poznał oficera.

— Co tu słychać?

— A nic! Spać się człowiekowi chce.

— To wracaj! Ja zostanę.

— I owszem. Djabło nudno tu siedzieć i czuwać! Dobranoc Macieju!

Mniemany Maciej nic nie odrzekł, a ułan, rad zmianie, zsunął się ze szkarpy i ruszył z powrotem.

Sam sobie zostawiony, Konstanty począł się wdrapywać na kupę rumowisk, uwieńczonych gąszczem krategusów. Pokaleczony i odrapany dosięgnął szczytu, potem z większą już łatwością zsunął się na dół. Był w ogrodzie. Noc, chociaż bez miesiąca, była dość jasna, a żołnierz z ciemnością był oswojony oddawna. Ruszył śmiało przed siebie, badając zagłębienia i gęstwiny, przeszukując wzrokiem wszelkie możliwe kryjówki. Był już może w połowie ogrodu, gdy mu zagrodziła drogę biała ściana. Przyjrzał się. Była to maurytańska altana. Obszedł ją i znalazłszy drzwi, chciał właśnie wkroczyć do środka i przeszukać, gdy go przykuł do ziemi delikatny szmer gitary i bardzo ciche tony hiszpańskiej pieśni. Chwilę stał i zbierał zmysły, może plan działania obmyślił. Decyzya żołnierza bywa krótką i szybką. Cicho, jak widmo, usunął się od drzwi do okna, wyciętego w zgrabny łuk, okrytego tylko leciutką matą.

Tam stanął, do muru się przytulił i znieruchomiał łowiąc uchem te dźwięki i szmery.

Co mu przez te minuty i kwadranse działo się w duszy, nagle z ostatnich nadziei odartej? Nareszcie śpiew ustał, gitara umilkła. Rozległy się odgłosy inne, jakby dawanych i odbieranych pocałunków i melodya namiętnych zaklęć w śpiewnej mowie Cyda. Konstanty wszy-

kobiet. Za to wypadków nieszczęśliwych mniej bywa między kobietami, gdyż zrównanie niebezpieczeństwa jest tu jednakowe, a praca zwykle mniej niebezpieczna.

Prawodawstwo fabryczne wspólne dla Rosyi i Królestwa otacza robotnicę bardzo małą opieką. Oprócz praw ogólnych, stosujących się do wszystkich robotników zajętych po fabrykach, zaliczyć do nich trzeba przedewszystkiem zakaz pracy dzieci niżej lat dwunastu, sposób i czas wypłacania robotnikom, inspekcyą fabryczną zobówiązaną do nadzorowania wszystkich zakładów przemysłowych, uchodzących za fabryki), istnieje tylko zakaz pracy nocnej dla dzieci do lat 17-tu i kobiet w fabrykach przedmiotów włóknistych, i zakaz ten z czasem ma być rozciągnięty na inne rodzaje przemysłów. Dopiero w ostatnim roku zabroniono kobietom pracy w kopalniach pod ziemią, gdzie też praca ich jest bardzo mało używaną. Prawo tedy nie przeciwdziała złym następstwom pracy fabrycznej i nie chroni kobiet od wyzysku.

Jedynym sposobem dopomożenia istniejącym stosunkom byłyby tedy stowarzyszenia z podobnym jak w Anglii zakresem działania i z celem podniesienia warunków pracy kobiet. Wszelkie stowarzyszenia jednak surowo są w Rosyi, a więc i w Królestwie zakazane, a wszelkie w tym kierunku usiłowania prześladowane przez władzę.

Inaczej już jest dla pracujących w rzemiośle. Tu z czasów dawnych utrzymywały się cechy od czasu ustawy z 1816 r. zwane Zgromadzeniami rzemieślniczemi, które przynajmniej majstrom dają możność łączenia się i solidarnego występowania, czeladzi zaś pozwalają mieć wspólną kasę i zapewniają pomoc w razie choroby, nie mówiąc już o tem, że przestrzegają odpowiedniego przygotowania w danem rzemiośle...

Praca kobiet i w rzemiośle szerokie dziś znajduje zastosowanie. Wraz ze zmienionemi warunkami bytu wzięły się do niej oprócz kobiet z klas niższych i kobiety z inteligencyi. Dopomogły tu dużo szkoły rzemiosł, których jest kilka, a do których od razu rzucono się tłumnie. Już w 1884 r. było 4,859 wychowanek rzemieślniczych, dziś jest ich najmniej dwa razy więcej.

Szkoły te miały zasługę zapoznawania kobiet z takiemi rzemiosłami, do których nie garnęły się one dawniej, a więc z introligatorstwem, drzeworytnictwem, fryzyerstwem, szmuklerstwem. Przytem uczennice omijały uciążliwą i długotrwałą naukę na jaką skazane byłyby u majstrów. Ale szkoła nie dawała takiej dokładnej nauki jak warsztat, nie zapoznawała ze wszystkiemi tajemnicami rzeczywistego rzemiosła. To też robotnice, które na chleb pracować potrzebowały i którym nie chodziło o torowanie dróg nowych, lecz o zarobek, po dawnemu uczyły się nieraz po pracowniach i warsztatach. Tu udział kobiet jest bardzo liczny, choć trudno go określić cyframi. Posiadamy bowiem tylko cyfry dla Warszawy i to z czasów spisu jednodniowego w 1882 r. W handlu i rzemiosłach pracowało wówczas 13,575 kobiet, z tych 4,076 w charakterze przedsiębiorczyń, 865 jako komisantki i buchhalterki, a 8,634 robotnic. W wielu zawodach praca kobiet występuje przypadkowo, pobudzają do niej np. okoliczności rodzinne, najintenzywniej zaś reprezentowaną jest w szyciu sukien, bielizny, w krawiectwie męzkiem, przy sporządzaniu ubrań gotowych, przy tak zwanych strojach, a więc ubieraniu kapeluszy i czepków, w kwiaciarstwie, rękawicznictwie, pończownictwie, w pralniach i cerowniach. Jak widzimy wszystko to są fachy mniej lub więcej związane z domowemi zajęciami kobiety, nowoczesny przemysł jednak potrafił je wyspecyalizować i uczynić kółkami wielkiej maszyny. I tak przy wyrobie kwiatów rzadko która umie wykonywać wszystko, najlepiej płatnemi robotnicami są te, które wybrawszy sobie jakiś rodzaj kwiatów wyspecyalizowały się w nim i doszły do doskonałości. W magazynach mód podczas nauki trwającej od 2—3 lat nie uczą nigdy kroju, a całe lata pracownice niektóre trawią na robieniu dziurek, szyciu spodni, obrzucaniu i t. p.

(Dokończenie nastąpi.)

LITERATURA I SZTUKA.

Najnowsze dzieło Ibsena.*)

Londyn w grudniu.

„Mały Eyolf“, sztuka w trzech aktach jest najświeższej daty skandynawskiego pisarza dramatem, który ukazał się na półkach księgarskich w połowie bieżącego miesiąca, w przekładzie znanego zaszczytnie krytyka Williama Archera.

„Czy świeży utwór Ibsena będzie symbolicznym? — pytali się coraz to liczniejsi wielbiciele geniuszu autora „Upiorów“, który swym zwyczajem kazał nam czekać dwa lata na następcę „Mistrza Solness'a“. Większa część kół literackich natomiast radowała się z zwłoki, zażywając miłego spokoju, o ile nie pokutował duch realizmu lub dekadentyzmu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że liczne grono angielskich literatów spogląda na norwegskiego pisarza z niechęcią i trwogą, z jaką wzbogacony biesiadnik patrzałby na intruza-olbrzyma, który ośmieliwszy się wtargnąć do sali upomina się o udział w uczcie. To instynktowne uczucie trwogi, tłomaczące się niemniej wrodzonem lenistwem do wysilania jaźni, a niosące z sobą uprzedzenia, jest ogromnie ludzkiem. Słysząc nowy ton w akordzie literackiej harmonii, zda im się, że wybiła godzina, zwiastująca odmienny rzeczy porządek, że autorytet ich blednieje w świetle jutrzni, a dzieła ich lub drogich sercu rówienników poczynają zstępować do grobowca historyi. Niepomni na nieubłagane prawo ewolucyi zamykają okiennice przed blaskiem nowego słońca, wzdrygają się jak mistrz Solness oddać swym następcom „królestwo“, uspakajając się słowy: „to nie jutrzenka, lecz łuna pożarna“, bo promienie światła drażnią ich ciasne, konwencyonalne i małomieszczańskie pojęcia moralności. W rzeczy samej nie brak tu i gdzieindziej krytyków, — a w rzędzie ich ojca teatru Klemensa Scott'a, mchem obrosłego jak Francisque Sarcey — którzy nie pochwyciwszy ani rdzenia myśli, ani wątku akcyi Małego Eyolfa tak samo jak dawniej Mistrza Solnessa, [illegible]ni na wyniesiony z lektury wielki znak zap[illegible] zawołali do publiczności z urąganiem: „ecce opus!“

Pytanie jak szczerzy krytycy tego kalibru zapatrują się na — aby nie szukać daleko — Sen nocy letniej Szekspira lub Cencich Shelley'a? „Zola z drewnianą nogą“ bowiem nie stanowi wyjątku w plejadzie potężnych umysłów twórczych, lecz tak jak tamte sięgając myślą coraz wyżej, stawiając coraz to szczytniejsze zadania i szukając skomplikowanej formy, w którą dałoby się wlać jaknajwiększy potok swych duchowych zasobów, wstąpił w obłoczną krainę abstrakcyi poetyckiej, do której niejednokrotnie wybiegał w ciągu swej działalności.

Lecz pamiętajmy, że na Shelley'u spoczywa klątwa małodusznego ultramontanizmu, a Szekspir to autorytet uznany, nie zakała, lecz gwiazda rodzinna, nie rywal, lecz fundament, pod czas gdy Ibsen ma nieszczęście albo raczej

*) Już przed wyjściem utworu zamieściliśmy kilka ogólnikowych uwag o treści jego. Dziś po ukazaniu się książki w języku niemieckim, angielskim i norwegskim podajemy obszerne streszczenie i ocenę. Przyp. Red.

---

stkiego wysłuchał, postać jego nie zadrżała ani razu, żadne uczucie słabości i względów nie odwróciło go od powziętego zamiaru, żaden wybuch szału nie zmącił surowej linii oblicza. Nie namyślał się i nie wahał już — tylko czekał. Nareszcie i te szmery miłosne ucichły. Drzwi przymknęły się lekko, wiotka postać dziewczyny, w płaszczu rozwianych kruczych warkoczy przemknęła około niego, i znikła około w głębi ogrodu — a w drzwiach stanęła smukła postać młodzieńca, który za tą uciekającą rzucił spojrzenie ostatnie, pełne blasków i tęsknoty.

Spojrzał i krzyknął, i jak przed zmorą straszliwą oczy zasłonił. Przed nim stał czarny cień przeszłości — stał sędzia.

Tak — wtedy u biwaku wypuszczonych jeńców był to brat i przyjaciel, opiekun ofiarny — w noc tę na placówce był to kolega i doradzca szlachetny, przychodził ze słowem otuchy — ze wspomnieniem babki do słabego dziecka, zdanego mu przez kochające serce.

Teraz przychodził zwierzchnik — po dezertera.

(Dokończenie nastąpi.)

J. P. JACOBSEN,

DWA ŚWIATY.

Tłum. Marya L.

Solica nie przedstawia widoku rzek wesołych. Na wschodnim jej brzegu widnieje już zdala, ponura, bardzo uboga, a dziwnie cicha wioszczyna.

Podobne do nędznego tłumu szpetnych żebraków, przez wodę w drodze zatrzymanego — który jednakże nic zgoła nie posiada, by koszta przewozu zapłacić — stoją tu obszarpane domostwa, tuż nad brzegiem rzeki. Wykoszlawione swe dachy, niby ramiona, zbliżyły ku sobie i sterczą, wsparte na zbutwiałych belkach, zanurzonych w szarej mętnej wodzie — raczej do kalek, na kulach się wspierających, podobne.

Z pod dachów wyglądają czarne, bez połysku szyby, patrząc z wyrazem niemej zawiści na brzeg przeciwległy, gdzie na tle łąk zielonych, piękne domki, szczęśliwszą sobie obrały siedzibę. Widać je tu i owdzie, pojedyńczo lub grupami wesołemi położone, a szereg ich ginie hen, w mglistej, skąpanej słońcem dali....

Ubogich chatek nie otaczają blaski, zdawaćby się mogło, że i słońce niechętnie tam zagląda: ciemność i złowrogie milczenie objęły je w posiadanie i rządy swe sprawiają bezlitośnie... Ciszę mąci tu jedynie szmer rzeki, która, jakby życiem znękana, leniwie acz bez wytchnienia podąża naprzód, nieustannie naprzód.

* * *

Słońce miało się ku zachodowi; w powietrzu rozbrzemiewać poczynało głośne ćwierkanie świerszczy, lekki wietrzyk przenosił je na drugi brzeg, gdzie w rzadkiem sitowiu nadbrzeżnem zamierało.

Z góry rzeki zbliżał się mały jacht.

W tymże czasie, w jednym z ostatnich domów, na balkonie, wsparłszy się o poręcz — stanęła słaba, wycieńczona postać niewieścia. Przezroczystą prawie dłonią, zasłaniała się od słońca, patrząc na jacht, który ku niej się zbliżał.

Sunąc, bez szmeru po powierzchni fali, zostawiał ślad oświetlony teraz ostatniemi słońca promieniami; wyglądało jakby ślizgał się zlekka po złotem wód zwierciadle.

W zapadającym półmroku dostrzedz można było blade oblicze kobiety, tak wrażnie od-

szczęście być „nowym“ realistą, a więc poniekąd złym duchem i, jak sam orzekł o sobie „nie ma w sobie materyału na porządnego człowieka“...

Jeżeli wyrozumiemy niechęć do pism Ibsena, zawsze jeszcze pozostanie niezrozumiałem, że żelazna siła intelektu jego, obleczonego w piękną chociaż nie błyskotliwą formę, a uwydatniającego się w prawie beznagannych ramach scenicznych nie podziałała na ich umysły czarująco i nie natchnęła zdumieniem graniczącem z uszanowaniem, jakie odczuwamy w obec potężnego sfinksa.

Atoli cześć dla geniuszu autora Rosmersholm'u nie namaszcza darem rozwięzywania łamigłówek, których kilka dał nam dramaturg pod misterną tkaniną symbolicznej szaty. Nie ułatwia bodaj zrozumienia to, że Ibsenizm sprowadzony do jednej formuły wykazuje, że kwintesencyą jego jest to, że nie ma ścisłej formuły. Analiza „Małego Eyolfa“ z emigmatyczną dyalektyką jest tem zdradliwszą, że kreślę te słowa pod pierwszem wrażeniem, aby nie zwlóczyć z streszczeniem, ciekawego dramatu, który jest „zdarzeniem“ w literaturze.

Metoda analityczna pozostaje w tej sztuce tą samą i dominujące tony te same, co w dramatach: Rosmersholm Hedda Gabler, Pani z Morza lub Mistrz Solness. Z pierwszym z wyliczonych Mały Eyolf jest spokrewniony duchowo najściślej, pod względem formy zaś z dwoma ostatniemi. Spotykamy tu dawnych znajomych — ludzką odpowiedzialność, wolną wolę — last but not least - miłość platoniczną, wyniesioną do dogmatu jako jednego z kardynalnych warunków szczęścia, albo raczej wewnętrznej harmonii. Wreszcie tak jak w Norze kładzie autor nacisk na wspólny cel małżonków i sympatyę dusz.

Charaktery są niemniej narysowane na wzór dawniejszych kreacyi.

Z sześciu osób trzy grają wybitniejsze role: Alfred Allmers, żona jego Rita i domniemana siostra Asta.

Allmers, to dodatni typ mężczyzny naszej ery, człowiek umysłu spekulatywnego w czynach chwiejny, w uczuciach subtelny i wydelikatniony, w obejściu łagodny. Przypomina Romera, męża Pani z Morza, i poniekąd nieszczęsnego Tesmana.

Rita, to kobieta w całem tego słowa znaczeniu, normalniejsza, praktyczniejsza od męża, przywiązana namiętnie do niego, podlegająca wskutek tego wpływowi wyższej jednostki instynktownie i kierująca się w życiu pobudkami uczuciowemi. Ona to wnosi w końcu płomień szczęścia do domowego ogniska, bo w jej kobiecej duszy rodzi się wielkie dzieło miłości, będące spójnią małżeństwa. Chociaż wiele rynów pokrewnych da się odnaleść w kobietach Ibsenowskich, wogóle Rita jest nową kreacyą, która stwierdza ponownie, że płeć słaba znajduje w Ibsenie powolnego sędziego. Asta natomiast jest znanym typem przeciętnej kobiety jego o zakroju duchowym. Różni się od Rity temperamentem. O ile tamta jest żywą, energiczną, nie rozumiejącą życia bez uciech zmysłowych, o tyle Asta bezkrwista, eteryczna ma do nich wstręt. Chociaż nie pozbawiona siły odpornej, jest siostrą duchową buchalterki Solnessa.

Eyolf, syn Allmersów, kaleka chodzący z kulą u nogi, to dziewięcioletni chłopczyk z usposobienia podobny do ojca, wybujały umysłowo i nad wiek rozwinięty, który pragnieniami sięga po za granice możności. Gra rolę drugorzędną i ginie w końcu pierwszego aktu, lecz myśl o nim albo właściwiej o Eyolfie wogóle zaprząta osoby do końca sztuki. Ściśle biorąc nie on lecz imie jego jest punktem ciężkości. Nosi je zaś nietylko syn Allmersów lecz także Asta, którą Allmers tak nazywa od czasu gdy jako mała dziewczynka przebrała się raz w jego ubiór. Autor mówi nie tylko o małym Eyolfie, lecz — wielkim Eyolfie i Eyolfach wogóle t. j. dzieciach całej parafii.

Prócz tych postaci występuje pełen wiary w siebie inżynier Borgheim i postać symboliczna jak u „Pani z Morza“. Tam był nią nieznajomy, marynarz, przedstawiciel świat opasującego elementu, który jest ucieleśnioną wolną wolą, a na scenie nabiera wyglądu tajemniczego i demonicznego. W tym dramacie spotykamy — śmierć o osobie znahorki, tchnienie grobowe wnoszącej z sobą. Towarzyszy jej czarny piesek, który pomaga jej przy „wabieniu“ szczurów z sklepów, czyli dusz z ciała. Co oznacza ten piesek? Jestże to duch wątpliwości w istnienie życia pozagrobowego, który Ibsen wprowadza w fantastyczny sposób jak Wielkiego Boyg'a w „Peer Gynt“ i Falcocia w Braudzie?

W „Małym Eyolfie“ zatem usłyszymy wyraźne echa dawnych dzieł Ibsena. Treść sama zaś, której jądrem jest śmierć dziecka, z pewnością niemniej przedstawia się tragicznie i ponuro. Atoli nie dość, że charaktery są spokojniejsze i więcej przeciętne, ale ponad całą sztuką zamiast pomroku pognębienia i ciemnicy beznadziejności, widnieje blady promień światła, a w symfonii tonów brzmi nuta zgody z życiem i dramat kończy jakiemś ożywczem tchnieniem nadziei, jeśli nie w szczęście to przynajmniej w osiągnięcie spokoju, płynącego z zgody z sobą, wspólnego celu i poczucia użyteczności dla bliźnich. Dramat nie zawiera rozwoju problematu wolnej woli na wielką skalę jak w Brandzie, ani na mniejszą jak w Hedzie Gabler. Nawet okropny wypadek — śmierć Eyolfa nie występuje z taką grozą, z jaką jowiszowy dramaturg byłby go wstanie zaakcentować. Wszystkie ulubione tezy Ibsena są tu o cały ton niższe, a kładąc przycisk na upokorzenie się przed losem, zdaje się on szeptać słowo pocieszenia.

Mister William Archer miał podobno powiedzieć, że dramat ten jest melancholią posuniętą do ostatecznych granic, melancholią trudną do zniesienia, a opinia jego niewątpliwie nie jest pozbawioną wagi. Winienem wszakże wyznać szczerze, że dopatrzyłem się czegoś wręcz nieomal przeciwnego. Nikłemi ludzkiemi stworzeniami wicher szamoce dowolnie jak spadłemi liśćmi, ale przecież dostają się one do zakątka „wielkiej ciszy.“

Rdzeń dramatu sformułowałbym w tych słowach: krzyż nałożony na nas przez los, nieśmy w pokorze, a gdy przy domowem ognisku ból nas czeka i rozterki, zamiast szukać pociechy czy zapomnienia w zadowolnieniu zmysłów, wznieśmy się — aczkolwiek tylko „istoty ziemskie“ — na „szczyty“ zaprzania siebie, „ku gwiazdom“ poświęcenia. Przy wielkiem ognisku społeczności znajdziemy dla siebie nieodzowny w małżeństwie wspólny piękny cel życia a wtenczas „może od czasu do czasu, w wędrówce przez życie, uda nam się rzucić okiem w stronę“ — Eyolfa — szczęścia....

Czy pod nazwą Eyolfa nie należy rozumieć duchowego szczęścia domowego?...

Akcya rozgrywa się w majętności Almersów, położonej nad Fjordem o kilkanaście mil od Krystyanii.

Allmers wróciwszy, z wycieczki w góry zaledwie pobieżnie zauważył piękny strój oczekującej go niecierpliwie żony i nie znalazł czasu na karesy. Poślubił jądlatego, że była czarująco piękna i posiadała „złoto i zielone lasy“. (Określenie to powtarza się kilkakrotnie, będąc jednym z kluczy do uchylenia wieka z tajemniczych podwalin sztuki). Kocha ją, lecz umysł jego zajętym jest wyłącznie pracą nad dziełem o — ludzkiej odpowiedzialności. Węzłem duchowym małżonków jest dziecko. Teraz po powrocie z gór zwraca on całą uwagę na syna, którego wprawdzie dawniej kształcił, ale któremu nie był ojcem. Osobiste ambicye odrzuciwszy zatapia się cały w istnieniu dziecka. Rita pałając gorącą miłością ku niemu i pragnąc posiadać go zupełnie i wyłącznie, znajduje rywala w swym synu zaledwie pozbyła się dawnego: *studyów*. Nawet uczucia Alfreda ku siostrze zdają jej się zbyt

---

bijające od ciemnego tła, jak gdyby w sobie własne źródło światła posiadało. Z wyrazem beznadziejności i strachu w oczach, ze smutnym uśmiechem na ustach zmęczonych — rozglądała się dokoła, a zmarszczki głębokie na nieco wypukłem jej czole, rzucały na twarz jej, cień niezłomnego, rozpaczliwego postanowienia.

Z kościoła rozległ się głos dzwonu.

Kobieta odwróciła głowę i, jakby w odpowiedzi na niemilknące dźwięki dzwonu, wyszeptała zcicha; „nie mogę dłużej czekać, nie mogę.....

Dzwonienie nie ustawało.

Zupełnie wyczerpana długiem oczekiwaniem, poczęła chodzić tam i napowrót, wzdychając ciężko, jak człowiek, który z trudnością tłumi łkanie wyrywające się z piersi.

Długie, długie lata była cierpiącą; jako ofiara choroby nie opuszczającej jej ani na chwilę — dawno już nie zaznała pokoju. Jeździła do rozmaitych miejsc świętych, cudami słynących, radziła się lekarzy — dotąd jednak bezskutecznie. Tego zaś roku, w sierpniu odbyła wraz z pątnikami pielgrzymkę do św. Bartłomieja — gdzie jej pewien jednooki starzec coś nowego poradził. Z szarotek alpejskich, gałązek ruty zwiędłej, rdzawych dźbeł kukurydzy i kwiatów cmentarnych — kazał uwić wiązankę, dodać do niej splot jej włosów i drzazgę z trumny oderwaną. Wiązanką tą niechaj rzuci za młodą, zdrową kobietą, zbliżającą się ku niej — po wodzie bieżącej; wówczas męcząca choroba ją opuści, a tamtę nawiedzi kobietę.

W chwili, kiedy widzimy ją, znękaną, przed domem, trzyma ona, w zanadrzu ukrytą, wiązankę tajemniczą, a na rzece zbliża się ku niej jacht, pierwszy od czasu uwicia różczki czarodziejskiej. Teraz doszła znowu do poręczy balkonu; jacht był już blisko, że doskonale odróżnić można było pięć lub sześć siedzących w nim osób. Zdaje się, że obcy. Na przodzie stał sternik, przy sterze zaś młoda kobieta, a obok niej mężczyzna, bacznie uważający na jej ruchy.

Chora na balkonie przechyliła się za poręcz. Każdy rys twarzy jej zdradzał najsroższe męki, jakie przechodziła, ręką konwulsyjnie przytrzymywała wiązankę. Z bijącem sercem, pałającem obliczem, bez tchu, z szeroko otwartemi; błędnemi prawie oczyma — oczekiwała zbliżenia się jachtu.

Już odróżniało się głosy podróżnych, chwilami całkiem wyraźnie, chwilami zaś, jak przytłumiony szmer zaledwie.

— Szczęście — mówił ktoś z nich — jest pojęciem czysto pogańskiem. W Nowym Testamencie nie znajdziesz Pani o niem żadnej wzmianki.

— A więc zbawienie? — wtrącił pytająco inny.

— Nie — posłuchajcież — rzekł teraz ktoś znowu — ideałem rozmowy towarzyskiej jest ciągłe zmienianie tematu; zdaniem mojem byłoby odpowiedniem uczynić to teraz, kiedy zaczynamy powracać znowu do tego, co było już przedmiotem naszej rozmowy.

— Dobrze; a więc Grecy....

— Pierwej Fenicyanie?

— Cóż wiesz o Fenicyanach?

— Nic zgoła; ale dla czegoż mają być Fenicyanie zawsze pomijani?

Jacht podpłynął teraz pod sam dom prawie; w tejże samej chwili ktoś, na pokładzie zapalił papierosa. Słaby, drżący płomień zapałki, oświetlił na chwilę młodą kobietę, siedzącą u steru, a przy jego świetle wyłoniła się twarz młodej dziewczyny, okraszona miłym, pełnym szczęścia uśmiechem, wymykającym się z ust jej, nawpół uchylonych. Pogodne jeczoło i jasne oczy zwrócone ku niebu o marzyj cielskiej świadczyły zadumie.

Po chwili światło zgasło, — wtem cichy ledwie dosłyszalny plusk — jak gdyby coś do wody wrzucono — potem cisza. Jacht podąża dalej.

* * *

Rok blisko minął od owego czasu.

Słońce zaszło za ciężkie, ponure, krwawo oświetlone chmury, kładące purpurowe swe

żywe. Wyobraża sobie, że nie jest kochaną i odgraża się, że rzuci się w objęcia pierwszego lepszego mężczyzny. Upatrując powód swego nieszczęścia w trosce o Eyolfa, poczyna go nienawidzić i idzie nawet tak daleko, że przez chwilę życzy sobie, aby on nie istniał. Eyolf winien, bo on ma „złe oczy“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wizyta u Sienkiewicza.

Paryzki korespondent „Kraju“ tak opisuje wizytę swoję u Henryka Sienkiewicza w willi p. Abdank-Abakanowicza pod Paryżem nad rzeką Marną:

.... Rozpoczęła się gawęda i tu poczyna się mój kłopot. Ze stanowiska interviewerskiego przyznać muszę, że Sienkiewiewicz antypodą jest pana Melchiora de Vogué, który skarżył się niedawno, że ciekawi dziennikarze wywiedzieć się chcą od niego wielu zajmujących rzeczy i zużytkować jego olej, który on woli na własny rachunek dostarczać do dzienników po tyle i tyle od wiersza. Sienkiewicz o swój olej nie jest tak trwożliwy: powód leży prawdopodobnie w olbrzymiej różnicy obfitości źródła, Sienkiewicz prosić się nie każe o wypowiedzenie, nie czeka na pytanie: o cokolwiek zahaczy rozmowę, gotów wszelkie dać wyjaśnienie, wygłosić swój sąd, opowiedzieć swe wrażenia, swe myśli, swe zamiary. Kto rozmawia z kimś z zamiarem spisania rozmowy, patrzy się na swego interlokutora z innego, dziennikarskiego stanowiska, widzi w nim swój przyszły artykuł i tak już z góry obmyśla pytanie, by wydobyć zeń rysy, które złożą się potem na jakiś, trzymający się kupy, obrazek. „Każdy przechadzający się po bulwarach nosi w swym brzuchu niezmiernie ciekawy artykuł — mawiał Villemessent — cała sztuka umieć go wydobyć:“ Z Sienkiewicza niczego dobywać nie trzeba, nie potrzeba nakręcać rozmowy do ram przyszłego artykułu: mówi o wszystkiem wyczerpująco, swobodnie, gotówby, gdyby go poprosić przyszłe swe powieści opowiedzieć:

— Przypominam, że odwiedziłem pana w charakterze dziennikarskim — wyrwało mi się mimowoli — czy wolno mi to zużytkować?

— Wszystko, co pan uważasz, że może kogoś zająć, odpowiada bez zająknienia i pali swoją sztukę dalej.

W pół godziny otrzymałem komentarz obszerny do listów z Afryki, usłyszałem wiele nieznanych epizodów, dowiedziałem się jak potężne wrażenie robi puszcza, naszkicowano mi obrazek z życia murzynów i obraz działalności francuzkich misyonarzów.

— Pan znasz Francyę? — i ja podzielam pańskie zdanie, i mnie bije tu w oczy egoizm i wyrachowanie... Powiedz mi pan, zkąd biorą się ci ludzie? Misyonarz angielski, dobrze płatny, zjeżdża tam z rodziną i urzęduje, póki dogadza mu klimat i miejscowe warunki; potem przenosi się gdzieindziej lub powraca. Misyonarz francuzki, „człowiek, co nie kłamie“, z zaparciem się siebie, sam jeden idzie w kraj dziki, uczy się języka, poznaje zwyczaje mieszkańców, żyje ich życiem, nie ustępuje ze stanowiska, choćby lat trzydzieści, póki nie zje go febra... Zkąd się biorą ci ludzie poświęcenia? za wiele ich na wyjątki; pełno ich w Afryce i na całym Wschodzie.

Dowiedziałem się następnie, że Sienkiewicz nie zaniechał dawnej myśli zwiedzenia kiedyś Indyi, ale z największą przyjemnością powróciłby do Afryki.

— Niema nic piękniejszego od puszczy; jak zrozumiał ją, jak przedstawił Lotti? Nie czytałem jeszcze jego „Le desert“, jak pan widzi, czytam obecnie „Le Lys rouge“ Anatola France (o książce tej i jej autorze wyraża się Sienkiewicz z niezmiernemi pochwałami).

Przepracowałem oczywiście i „Lourdes“. Moje zdanie? Zola ma ogromny talent, więc znać go i tutaj. Ale co panu pozostało w głowie po przeczytaniu tej książki? Mnie nic. Czy jest tam jedna żywa figura? U Dickensa np. w „Coperfieldzie“ są postacie, z któremi zaprzyjaźnić się można i zastanawiać się potem nieraz, coby myśleli, coby w danej chwili powiedzieli... O starym Dumasie nie ma co i mówić, nic się nie zdziwię, jeśli d'Artagnanowi postawią gdzieś pomnik na publicznym placu! A Zola?

Dowiedziałem się dalej, że w Paryżu u Loevego wyjdzie niebawem tłómaczenie francuzkie „Bez dogmatu“, pióra współpracownika „Kraju“ p. Wodzińskiego; wyjdzie w jednym grubym tomie, bo nakładcy francuzcy nie wydają obecnie powieści wielotomowych i o ten szkopuł rozbiło się już paru tłómaczów „Ogniem i mieczem“ i „Potopu“; że przygotowują się w Niemczech nowe tłomaczenia. Obejrzałem ipyszne wydanie „M-r Michel“ (Wołodyjowski), który cieszy się i w Anglii i w Ameryce tem samem ogromnem powodzeniem, co „Ogniem i mieczem“ i „Potop“. Następnie kolej przyszła na „Połanieckich“ i na „Quo vadis?“, nad którem pracował przez cały czas pisania „Połanieckich“. Rzym zna dobrze, bawił w nim wielokrotnie i długo, od 16 miesięcy robi jednak nad nim dalsze studya, czyta to starożytnych pisarzy, „w których wczytać się mu przyszło łatwiej niż przypuszczał“, to znów Rossiego, Friedlaendera, Allarda, Aubertina („udowadniającego przez połowę dzieła, że Seneka nie znał się ze św. Pawłem, a wykazującego w drugiej połowie niezbicie, że i św. Paweł nie znał się z Seneką“) Ghelongiona itd. itd.

Pisać jeszcze „Quo vadis?“ nie rozpoczął, nawet tej odrębnej sceny, dziejącej się w Judei, która wstęp stanowić będzie do rzymskiej opowieści.

— Po „Quo vadis?“ zabiorę się do „Krzyżaków“.

Powstałem. Miałem już materyału choćby na cztery artykuły; wdzięczny Sienkiewiczowi byłem za dziwną jego dla mnie uprzejmość, mniemałem przecież, że lepszy użytek robić może autor „Połanieckich“ ze swego czasu, niż ze mną rozmawiać.

— Co? pan chce odchodzić? O tem niema najmniejszej mowy. Pan Abakanowicz zaprosił pana na obiad, rad nie rad, musi pan zostać i nudzić się ze mną, póki gospodarz pana nie wybawi.

Oczywiście zostałem. Mam streszczać rozmowę? Dotąd i dziesiątej części tego nie wspominałem, o czem mówił mi Sienkiewicz, a dalsze interview, wliczając czas obiadu, trwało godzin ośm. I mam streszczać rozmowę? Mądry, kto tego dokaże. Spotykałem ludzi, co często widywali się z Sienkiewiczem, i na pytanie nawet odpowiedzieć nie mogli, czy on milczący, czy rozmowny? Co więcej, słyszałem raz dwóch innych, sprzeczających się o jedną i tę samą rozmowę: „A to się dziś Sienkiewicz rozgadał!“ twierdził jeden. „Przez cały czas ani razu ust nie otworzył“ — upierał się drugi. I obydwaj mieć mogli słuszność, u Sienkiewicza i to jest możliwem. Sienkiewicz ma jedyny, niezrównany talent prowadzenia rozmowy, w której sam cofa się rozmyślnie na plan drugi, sam jak najmniej mówi, rzuca od czasu do czasu słowo jakieś, wystarczające, by pchnąć je tam, gdzie mu się podoba, słowo, które rozbudzi w rozmawiających myśli, których on sam wypowiedzieć nie raczy — on nigdy nie powie rzeczy, której się już słuchający domyśla, i dwóch słów nie użyje, gdy do porozumienia się wystarczy jedno. Zresztą słucha — i jak słucha!

Znałem ludzi kilku, z dowcipu słynnych i talentu zachwycania słuchaczów żywym swojem słowem. Pamiętam jednego, którego opowieści słuchano w uroczystem milczeniu; cisza zalegała, gdy usta otwierał, i cisza znów panowała, gdy opowieść swą skończył: nikt po nim głosu zabrać nie śmiał, z biedą wypełniano pauzę, aż znów przemówić zechciał. Z Sienkiewiczem dzieje się wprost przeciwnie: zapytaj go o cokolwiek odpowie ci zwięźle, tonem najpotoczniejszym i, mówiąc, patrzy ci w oczy uważnie. Nie jest to wzrok badający zaczepnie, dający obserwowanemu uczuć, że chce go przeniknąć.

---

blaski na płowe fale rzeki, świeży wietrzyk owiewał płaszczyznę pól dokoła. Uroczystej ciszy nie zakłócały teraz świerszcze; plusk wody poruszanej i szelest nieustanny w nadbrzeżnem sitowiu — jedynym były życia dowodem.

Zdala widać było jacht zbliżający się w tę stronę.

Nad brzegiem rzeki stanęła chora kobieta z narożnego domu.

Rzuciwszy wtenczas, za młodą dziewczyną, swą wiązankę tajemniczą — z nadmiaru wzruszeń zemdlała. Jednakże, wskutek silnego wstrząśnienia, a może wskutek porad nowoprzybyłego w okolice te lekarza — nastąpiły w chorobie jej bardzo ważne zmiany. Po krótkim, choć bardzo ciężkim czasie, powracać zaczęła do zdrowia — po kilku zaś miesiącach choroba ustąpiła zupełnie. Z początku była, jakoby oszołomiona ową pełnią zdrowia, niedługo to jednak trwało. Wkrótce straciła humor, posmutniała, opanowało ją uczucie niepokoju i cichej rozpaczy — obraz młodego dziewczęcia na jachcie, niezatarty w jej pamięci, prześladował ją, gdziekolwiek była.

Z początku widziała je tak jak wówczas świeże, zdrowiem kwitnące, gdy klęcząc błagalny wzrok ku niej podnosi. Po niejakim czasie znikło, stało się niewidzialnem. Nna czuła jednak nieustannie bliską jego obecność — słyszała jęk cichy za dnia przy łóżku, nocą zaś w ciemnym izby kąciku. Niedawno temu ucichło, lecz stało się znowu widzialnem, dotykalnem nieledwie. Blade, o wychudłej twarzy spoglądało ku niej wzrokiem pełnym wyrzutu i skargi niemej.

Dziś wieczorem zeszła chora tuż nad brzeg rzeki; trzymając w ręku kawałek drewienka robiła znaki krzyża na miękkim piasku nadbrzeżnym. Od czasu do czasu podnosiła głowę, jakby nadsłuchując, po chwili jednak, wracała znowu do smutnego swego zajęcia.

Dokoła rozległ się głos dzwonu z wieży. Kobieta starannie wykończyła znak ostatni, poczem odkładając drewienko, uklękła i zaczęła modlitwę. Wkrótce powstała z klęczek i weszła do wody. Uszedłszy kawałek, gdy woda sięgnęła jej do piersi, przystanęła, otwarła ramiona i pogrążyła się w mętnej, szarej fali. A zimna fala porwała ją, pociągnęła w swą głębię — poczem, jakby nic nie zaszło, pomknęła koło wioski, koło pól zielonych, dalej, coraz dalej...

Teraz był już jacht tak blisko, że można było poznać stojących na pokładzie. Było tu tych dwoje, którzy wówczas obok siebie przy sterze siedzieli, a którzy teraz swą poślubną odbywali podróż. Tym razem jednak on był u steru, ona zaś otulona wielkim szalem, w czerwonej czapeczce na głowie... stała w pośrodku jachtu, wsparta o maszt, żagli pozbawiony. Z cicha nuciła piosenkę.

Teraz minęli ów dom. Młoda kobieta tkliwie spoglądała na swego sternika, wzrok swój zwróciła potem ku niebu. Patrząc na przeciągające ponad głowami ich chmury, wsparta o maszt, zaczęła nucić, zrazu cicho, potem coraz głośniej, dziką, namiętną piosenkę.

Wzrok spokojny, myślący, uważny, głęboki. Zdaje ci się, że człowiek ten niezmiernie twego zdania ciekawy, powiedz słowo, jeszcze podwoi uwagę; aniś się spostrzegł, że myśl ci swą podsunął, z takiem słucha cię zajęciem. Wypowiedziałeś rzecz swoją głupio, czy mądrze, nigdy tryumfalnego „a ja panu mówiłem“ nie usłyszysz: twoje słowa stanowczy wpływ wywarły na przebieg rozmowy; liczy się z niemi, na nich opiera dalsze swe wywody, że zachęcony prawić gotów jesteś dalej. A on tymczasem tą swą uwagą, swym wzrokiem, tem rzuconem od czasu do czasu słówkiem tak rozmawiających podnieca, drażni mózgi, taką dają im ostrogę, że ożywiają się coraz więcej, głowy coraz raźniej zaczynają pracować, słowa coraz płyną łatwiej, rozgrzewają się, on podkreśli, co godne uwagi, dorzuci im czasem łuczywa, i przebiegu rozmowy z takiem śledzi przejęciem, że jakiś obserwator z boku zastanawiać się może, czemu człowiek ten słucha wszystkiego z taką zaciekłością, chyba ciekaw, w jakim kształcie powrócą doń własne myśli, przepuszczone przez filtry najróżniejszych mózgów! Nie widziałem człowieka, coby tak słuchać umiał.

Przytem czujesz, że to szczere, to nie komedya, on sam nie zdaje sobie zapewne sprawy, że tobie mówić każe, co sam wyłożyłby znacznie trafniej; wtrącił swoje słówko, bo mu się na myśl nasunęło: budzi ono myśli, bo ich wiele w zarodku zawiera; dwóch nie powiedział, bo czuł, że i tak zrozumiesz. Wogóle rozmowa z Sienkiewiczem toczy się często po za obrębem mówionego słowa: odpowie ci na to, o co pytać zamierzałeś, zrozumie cię nie tak, jakeś powiedział, ale lepiej niżeś pomyślał, że aż dziwisz się własnej wymowie. „Nie wiem, co się stało, żem tak się dziś rozgadał“ — mówił mi raz ktoś, co ledwie zdań parę wmieszał do ogólnej rozmowy; a inny, co przez parę godzin nikogo do słowa nie dopuszczczał, dziwił się potem „jaki Sienkiewicz rozmowny“ — a tamten słuchał tylko!

I spisuj tu taką rozmowę. Wolę przyznać, żem do tego niezdolny, nie podołałyby zadaniu i najlepsze fonografy p. Abakanowicza: możeby się popsuły. Ws omnę przecież jeden jej epizod. Kiedy Sienkiewicz opowiadał, że jeszcze ani jednego wiersza do „Quo vadis“ nie napisał, zapytałem:

— A odczyt w Zakopanem? wszak to był wyjątek z „Quo vadis“?

— Wyjątek z nienapisanej powieści. Nawet nie wyjątek, bo nie wcielę żywcem w mą książkę szkicu tego, dającego tylko wyobrażenie o tle, na którem nakreślę mą powieść. Napisałem ten urywek umyślnie na ów odczyt. Nie miałem siły odmówić: przyszli mię prosić o odczyt górale! choć zajęty byłem pisaniem „Połanieckich“.

— A równocześnie pracował pan nad „Rzymem“ i tworzył powieść zupełnie odmienną? Czy myśl można rozdzielić na dwa przedmioty tak odmienne?

— Przeciwnie. Zajmowanie się wyłącznie jednym przedmiotem zbyt męczy, zbyt absorbuje, śni się on i sen odbiera. Do pisania powieści zabieram się, gdym ją już przetrawił, obmyślał wszystko, chodzi już tylko o napisanie, choć, co prawda, zmienia się ona nieraz pod piórem i rozrasta. Podczas pisania jednej myśli, rozwijam drugą, następną.

— Gdy studjuje pan jednak „Rzym“ i to z myślą powieści, gdy w głowie powstawać poczynają przyszli bohaterowie, zarysowywać obrazy, czy nie bierze pana niecierpliwość skreślenia scen, które widzi już pan przed oczyma?

— Nigdy rzeczy nie piszę urywkowo, postępuję po porządku. Ja piszę wogóle bardzo trudno, wśród pisania każdej powieści wkładam się dopiero do pióra, że pod koniec łatwiej mi to idzie, niż z początku, a i tak, gdybym się nie zmuszał do pisania od ręki, bo zaraz drukować rozpoczynam i dziennik czekać nie może, to kreśliłbym, mazał i poprawiał bez końca. A cóż dopiero, gdybym napisał sceny, które więcej mnie pociągają, reszty nie wymęczylbym chyba nigdy. Z czasem wyrabia się w człowieku i cierpliwość i pamięć. Pomysł w głowie czekać może i długo. Np. „Post tenebris lux“, rzecz, o której krytyka wyraziła się bardzo pochlebnie, to pomysł z przed lat ośmiu. Dobrze nawet czasem porzucić chwilowo temat, o którym się myślało, zarysuje się potem wyraźniej, wystąpi jaśniej.

Wezwano nas do obiadu, do którego oprócz domowych, zasiadł pan Władysław Mickiewicz i podpisany. Po głowie roiły mi się rzeczy, którem dopiero co słyszał, i nieznacznie, pod stołem, część ich choć zanotować pragnąłem dla pamięci. Źle się wybrałem. Sienkiewicz swym sposobem, pół-milczkiem, opowiadał już o potomkach rzekomych Zagłoby, którzy zgłaszali się doń o informacye o spadek po znakomitym tym mężu; Mickiewicz z właściwą sobie niewyczerpaną werwą, malować począł dawne emigracyjne typy; gospodarz domu opowiadał zabawne przejścia z gonitwy po Ameryce, gdy, ściągając yankesów na paryzką wystawę, co dnia i co 500 kilometrów wygłaszał odczyt, odbywał konferencye i zwoływał meetingi.... I tu znów notować począłem. Co za żniwo! Ale zwolna bunt rodzić się począł w mych piersiach: dziennikarz także człowiek! Precz od się rzuciłem ołówek i słuchać począłem, uszu nadstawiając — dla siebie.

— Kiedy odchodzi ostatni pociąg? — przerwałem wreszcie żywą pogadankę.

— O 12.

— To znaczy za pięć minut. Ostatni czas: spieszmy.

— Ja z panami muszę się pożegnać — wtrącił Sienkiewicz — pojutrze wyjeżdżam.

— Dokąd? jeśli wolno zapytać.

— Sam jeszcze nie wiem. Na razie do Szwajcaryi.

— Do Szwajcaryi? Ależ tam teraz zimno. Wolałbym raczej do Tunisu.

A coby się stało wówczas z „Quo vadis“? gdybym znów zakosztował Afryki! Z wielką powieścią w głowie jechać nie można tam, gdzie zbytnio człowieka ciągnie...

— Zatem szczęśliwej podróży.

Wierzbięta.

Prywatne stosunki z muzą.

— —

(Ciąg dalszy.)

Spojrzeliśmy wszyscy na siebie znacząco, słabo nawet ukrywając śmiech, gotowy wybuchnąć całą kaskadą.

Laureat jednak posmutniał nagle, rozciągnęła mu się twarz, jak gdyby ze zdziwienia, że sam na ten pomysł nie wpadł, potem z frasunkiem komicznym w oczach zaczął prawie błagać o odwołanie tych Hiobowych słów.

— E to nie może być, ty chyba na kawał mię bierzesz, komuż by się chciało wydawać pieniądze na telegramy, musiałby być chyba ostatnią .... świnią.

— No wierz lub nie wierz, jak ci się podoba, a ja radzę nie łudzić się — odpowiedział artysta tonem ultra-statecznym i z cudownem w słowach spokojem.

Ale tu się tama zarwała, wszyscy parsknęli śmiechem ofiara chwilowej mistyfikacyi odetchnęła swobodniej.

Dwaj ci aktorowie odgrywali nieraz podobne, niczem nieopłacone, nieoszacowane sceny; jeden w katuszach ciągłej obawy i udręczeniach ciągłej nieobecności gotów był uwierzyć i nieuwierzyć, jak posłuszne, podatne medium pod okiem wytrawnego hypnotyzera — drugi specyalista od „kawałów“ z wiecznie świeżą, niewyczerpaną fantazyą Rabelais'go *en miniature*.

Z tą zmiennością usposobienia nie mogła iść w parze stałość i dojrzałość w stosunkach koleżeńskich. Pewnego razu, gdy mu po powrocie z dalekich stron koledzy składali wizyty, przyjął ich ni stąd ni z owąd oziębłe i cierpko, jak gdyby w czasie jego nieobecności wyrosła między nimi straszna jaka intryga.

Rzecz się wyjaśniła po kilku dniach. Nieszczęsny podejrzliwiec ubrdał sobie, — ponieważ przywiózł z sobą trochę mamony, — że odwiedziny miały na celu wyłudzenie pożyczek. Jednemu nawet wprost impertynencko to wypowiedział.

Komizm tego napadu pojąć może tylko ten, kto zna wstręt całej braci w Apolinie, o której opowiadam, do zaciągania długów po za obrębem ostatecznej potrzeby...

Za to, gdy się Kociokwickiemu uśmiechnie muza i zeszle listek wawrzynu, serce jego nagle topnieje jak wosk, pragnąłby wtedy wszystkich przytulić do łona, wita się i żegna nadzwyczajnie szeroko i w porywie dziecięcego rozrzewnienia przeprasza za wszelkie wyrządzone krzywdy lub popełnione niewłaściwości, nie pojmujac bynajmniej, że go cenią i lubią, i nigdy nań nie gniewają ani obrażają.

Gdyby można było jakim neuroskopem zmierzyć ilość wahań tego niespokojnego organizmu, przypływów i odpływów usposobienia i energii, otrzymana summa wyobrażałaby ogrom wzruszeń i wstrząśnień prawdziwego artysty. Jest to owa typowa recepta, formuła psycholongiczna, określająca ducha twórczego i żywotnego: dużo komizmu, wiele dramatu, promienne błyskawice szczęścia i ponure szturmy rozpaczy.

Widziałem z Lido wzdymający się pod tchem huraganu Adryatyk; fale wznosiły się jak góry i za chwilę opadały tworząc głęboką otchłań. Dusze artystów, jak oryginał niniejszego wizerunku, tem są różne od morza, że wzbijają się i opadają z równą mocą, ale prawie zawsze. Nie jestto bynajmniej męczeńsko-błazeńskim przywilejem naszej epoki. Takim, zupełnie takim, był Torquato Tasso: przeczytajcie sobie Goethego głęboki, na jego życiu osnuty dramat..

I znowu kilka kart muszę przewrócić bez zatrzymania się na nich. Miernoty? Bynajmniej i wielkie talenty, ogromna praca, ale nie zostawiły one pieczęci na twarzach. Łatwo możnaby te fizyognomie staranne, odnieść do sfery „umiarkowania i punktualności“ jak nazywa filisterską burżuazyę pewien satyryk, gdyby nie zaostrzona „w szpic“ bródka, nasuwająca podejrzenie, że to także pogrobowcy Apellesa. Jest ona symbolicznym znakiem prawie wszystkich monachijskich malarzy.

A może i pod temi modnemi surdutami kołatały niegdyś, a może kołatają i dziś jeszcze niespokojne serca, a pierś wzbierała dumą i ściskała się śmiertelnym strachem. Zapewne tak było, ale minęło, ciała się zaokrągliły, twarze nabrały wyrazu spokoju, pogody i pewności siebie. To są innemi słowy żeglarze, co już zawinęli na zawsze do przystani, syci trawiących szamotań się z żywiołem. Znaleść tu można pyszne kwitnące rumieńce, harmonijnie zaokrąglone brzuszki, eleganckie wykałaczki w palcach lśniących od sygnetów, zaproszenia na obiad do rejenta Luitpolda.

Nadwiślanie, nie są plemieniem z gruntu filisterskiem, mimo, iż po wsze czasy produkowali całe armie szewców, tak jak bawarczycy piwowarów i bednarzów, ale zauważyłem, że bardzo chętnie zamieniają śmiały i niebezpieczny lot ptaka śród ostrych skał na wygodne i powolne dreptanie po utartym gościńcu. Niekiedy rogate „ja“ wyziera jeszcze z płócień, przypominając mglisto, że autor miał swój temperament, swą ekscentryczność, ale samo życie zdradza na każdym kroku zrównoważenie i szarość gustów i woli. Heine nazwałby to filisterstwem pomarańczowem, — u ludzi bowiem całkiem pospolitych bywa ono „kartoflane“.

Na usprawiedliwienie ich możnaby przytoczyć parę rozdziałów z wielkiej księgi nędzy, tej nieodłącznej prawie towarzyszki młodości naszych „mistrzów pędzla“, gdyby nie były one tak nużąco długie i przygnębiające. Kto przez cały szereg lat żywił się taką strawą bezkrwistą, jak nadzieja i pochwały kolegów, nie dziw że zaproszony raz przez fortunę do suto zastawionego stołu nie chce się z nim ani na chwilę rozłączyć. Dawne zuchwalstwo natury płynie już tylko wąziutkiem korytkiem, jakiś wyraz ze słownika bohemii, dobry humor, Dandysowskie uwijanie się koło dam — oto wszystko.

Weźmy np. tego w szerokie, jak majtkowskie, „mycce“ na głowie, którą sobie grzeje łysinę

w pracowni. Zwinął ją fantazyjnie i już mu się prawie wszystka fantazya... wyczerpała: prowadzi „żywot poczciwego człowieka" na łonie rodziny, lubi wygody, strawną kuchnię, konną jazdę, różne hygieniczne procedury, i nie potrafi pomyśleć o przebytej ongi kwarantannie niedostatku bez wzdrygnienia... Zarazem jednak pyszni się nią i ma pełną świadomość szczytnego tryumfu wytrwałości i pracy.

Bo i któżby się nią nie pysznił? posłuchajcie, jaka to była przeszłość.

Był dzieckiem gminu, głodnem, prawie nagiem i ciemnem, jak sam fanatyzm. Ulitowali się nad nim ludzie i oddali do terminu; pierwsze kroki jego były... artystyczne, chadzał po kuchniach i izbach, które pobielał jego majster, malarz pokojowy. Że jednak drażniło go jednostajnie żółte albo perłowe tło ścian, które tworzyły przybytek rondli i garnków, więc pędzelkiem nadprogramowym, lub też kawałkiem węgla rysował twarze, kto wie, może twarze bohaterów kulinarno-pożarnej sielanki. Za nieproszone dodatki, dodawano mu pono do suchego chleba trochę gorącego sadła, nie za skórę lecz na skóre...

Taka była pierwsza jutrzenka sławy.

Widocznie jednak w owych młodocianych produkcyach tlała iskierka nieuleczalnej namiętności, a może i coś więcej. skoro znaleźli się szaleńcy, których one zaciekawiły nieco i usposobiły dla wyrostka poważniej i życzliwiej. Odebrano go artyście od pobielania i powierzono mistrzom mniej szerokiego i długiego pędzla, a także i światłodawcom, których w dobroczynnej Warszawie zaofiarowało się naraz bezinteresownie kilku.

Ludzie spiknęli się najwyraźniej przeciw niedoli i obskurantyzmowi, ażeby im wydrzeć jednego adepta.

I powiodło im się cudownie. Wrażliwa organizacya malarczyka chłonęła wszystko jak gąbka. W krótkim czasie zaszedł tak daleko, że mógł zostać uczniem Matejki, a później zyskać jego gorące uznanie. Po kilku latach przeszedł pod kierunek jednej z lepszych europejskich akademii. Tu, zdala od rodzinnego kraju, pozbawiony wszelkiej opieki i stosunków, spotkał się oko w oko z kościotrupiem widmem przymusowego postu, który trwał długo, bardzo długo i stwierdził raz jeszcze pewnik, że człowiek umie być więcej stalowym niż sama stal. Zęby nie miały co gryźć, i dobrze się stało, bo mogły przynajmniej swobodnie szczękać z zimna, które po zastawieniu jedynego palta wlazło razem z kwitem lombardowym pod surdut i serdecznie przez parę miesięcy ściskało nieboraka.

Przejmujący do szpiku kości ziąb przeplatało niekiedy uczucie straszliwego, wewnętrznego upału, po którym wargi były jakgdyby przypalone żelazem, a w ustach zostawała żółć. Taką chwilę zawdzięczał od czasu do czasu jednemu z najlepszych profesorów wiedeńskich, który nie dla żartu, lecz z przekonania, rzucał mu taki, dajmy na to, frazes.

— Pan niemasz najmniejszego talentu.

W podobnych razach palto było niepotrzebne... Młody aspirant do stanu artystycznego zamało miał doświadczenia, a za dużo wiary w ludzi, ażeby wiedzieć o tem, że profesorowie jak wszyscy wogóle szkolarze sa od zabijania talentu i że gdyby np. istniały lombardy ducha, za ich sądy i mądrości nie dawanoby tam złamanego szeląga... I nasz więc eks-drapichrust na owem cenzurowanem czuł się jak na stosie.

I przez ten ogień przeszedł i nie spłonął w nim. Chociaż „niema za grosz talentu", niektóre płócienka jego idą na wagę złota, ba znacznie wyżej i gdyby nie dawny nałóg odtwarzania wielkich szkół i stylów, zamiast szukania własnej indywidualności, która niewątpliwie ukryła się zdrzemnięta, — wdrapałby się niechybnie na sam szczyt sztuki.

W każdym razie przedziwnie odbija wytworny jego smak, smak prawdziwego karmazyna malarstwa, od tła ulicznego brudu, na którym wyrósł kawał niepozornej rudy i, przetopiony w dobrym tyglu, dał najniespodzianiej czysty, drogocenny kruszec, na widok którego nie chce się wierzyć, że ma tak podły rodowód. Dziś jest to natura wrażliwa, jak tego wymaga psychologia artyzmu, na wszystkie sfery piękna, wykształcona, zbrojna w erudycyę i cytaty, których mógłby pozazdrościć niejeden literat i przysięgły estetyk.

Powłokę pozornego spokoju czasem przebija wrzący prąd, jak islandzki hejzer. Płynie wtedy ciekawe wyznanie, pełne samokrytyki, samoanalizy, refleksyi, która dochodzi niemal do podwójnej świadomości. Usta prawią o dziejach własnej duszy, jak o kimś innym zupełnie, jak o drugiej w tem samem łonie duszy, a wówczas opowieść zaczyna pobrzmiewać tonem goryczy i czemś, co zakrawa na wszystko, tylko nie na zadowolenie z życia, dotychczasowych laurów i ludzi. To też od ostatnich trzyma się zdala; zazdrość, ciasnota i podłostki, nieodstępne jaszczurki wszelkich polskich kolonii, dają mu na każdym kroku poznać, że jest parweniuszem. W koncercie gadzinowych syków prym trzymają, *comme toujours, panie.*

Cezary Jellenta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkoła i wychowanie.

Oświata ludu

III.

Powieści wśród wydawnictw ludowych pomieszczane podzielić można na trzy kategorye. Do pierwszej zaliczamy książeczki zupełnie odpowiadające celowi, przystępnie pisane, zajmujące i pożyteczne. Drugą stanowią książki może zkądinąd dobre, lecz ani formą, ani treścią do poziomu umysłowego czytelników nie zastósowane, trzecią bardzo popularne, lecz bardzo niemądre, szkodliwe, ogłupiające i pozbawione zdrowej moralnej podstawy. Ta ostatnia kategorya niestety jest bardzo liczna. Awantury o smokach, dyabłach, rozbójnikach, skrzydlatych rycerzach, o strasznych zbrodniach, niemożliwych cnotach, które często wcale cnotami nie są, okrucieństwach i cudach dokonywanych za pomocą czarodziejskich zaklęć — zapełnićby mogły całe biblioteki i bez kwestyi znajdują zawsze chętnych czytelników. Wpływ ich na umysły jest bezwarunkowo zgubny; nie mówiąc już o częstym w nich bardzo braku poczucia moralnego, same takie oswajanie ludzi z nieprawdopodobnym zupełnie rozwojem wypadków, z nieustanną interwencyą nadprzyrodzonych sił, ze zwycięztwami odnoszonemi bez zasług, z bogactwami zdobywanemi bez pracy, z powodzeniem przychodzącem bez wysiłku — zatraca w nich pojęcie rzeczywistych warunków bytu, wyrabia nieopatrzność, lekkomyślność — utwierdza ciemnotę. Pod tym względem celują chełmińskie wydawnictwa księgarni Fiałka. Ciekawym lub niedowierzającym polecamy przeczytanie „Cierpliwej Gryzeldy". „Przygód obieżyświata", „Cierpliwej Heleny" i innych wreszcie. Najlepsza stosunkowo z tych książeczek: „Los sieroty", która nawet przez Towarzystwo Czytelni Ludowych zakupioną została, ma jeszcze bardzo grube wady, dla których bynajmniej polecać jej nie można. Sierotą jest uboga lecz cnotliwa szwaczka, którą bogata bankierowa przez zazdrość chce skompromitować, podrzuca jej kosztowną bransoletkę i oskarża o kradzież. Bogate bankierowe niewątpliwie dokuczają czasem biednym szwaczkom, lecz nie przez zadrość i nie bawią się w podrzucanie kosztowności. Mniejsza zresztą o ten szczegół. Gorszem jest zakończenie. Sierota traci zarobek i zagrożona biedą — wyjeżdża wraz z innymi emigrantami do Ameryki. Kieruje się w tym razie wskazówką otrzymaną we śnie przez św. Wincentego a Paulo. W porcie nowojorskim zostaje okradziona; zmęczona, głodna, bez dachu, dzwoni do pierwszej lepszej kamienicy, tam znajduje przygotowaną dla siebie kolacyą, nocleg wygodny, a nazajutrz właściciel domu — milioner amerykański wzruszony jej opowiadaniem oświadcza się o jej rękę, zostaje przyjęty i biedna szwaczka od razu staje się panią olbrzymiej fortuny.

Wypadki takie naturalnie są równie niemożliwe po tej i po tamtej stronie oceanu. Na pociechę biednych szwaczek można im przedstawiać w powieściach zwycięztwo wytrwałości i pracy, przełamujących przeszkody i tryumfujących wśród przeciwności; można dowodzić, że uczciwość i cnota mimo intryg złych ludzi zawsze w końcu uznanie znajdują, lecz obiecywać rękę zamorskich milionerów, nagłe zbogacenie się cudownym sposobem — nęcić świetnemi fantasmagoryami do zamorskich wędrówek — jest w każdym razie rzeczą naganną. W czytelniach bezpłatnych, utrzymywanych przez towarzystwo ilość książek na potępienie zasługujących jest zresztą minimalną. Nie ma tam ani historyi o żydach, ani „Godziny śmierci", ani wreszcie opowiadania o s a r m a c k i c h książętach „Brundwiku i Sztylfrydzie". — Natomiast dość często trafiają się dzieła nie dla ludu pisane i prawdopodobnie czysto przypadkowo, przy okazyi przez czytelnie nabyte. Są tu tłumaczenia z obcych języków jak n. p. „Recha". powieść, której nikt z prostych czytelników ani zrozumieć, ani chętnie czytać nie może; jest i „Rzym za Nerona" i kilka innych powieśc Kraszewskiego niezupełnie dla tej kategoryi czytelników właściwych. Z drugiej strony nie mieszczą się w nich dziełka nowe i bardzo polecenia godne n. p. powieści Dziryta na tle rzeczywistego życia kreślone i piękną przeniknione tendencyą, dobra bardzo powiastka historyczna z czasu pierwszego napadu Tatarów: „Ofiara z krwi polskiej w obronie chrześciaństwa" i sporo innych. Należałoby może jednak zapas pokarmu umysłowego powiększać i odświeżać, a zresztą i zachęcać zdolnych i dobremi chęciami ożywionych autorów, swą pracę zpożytkować pragnących na polu, na którem zresztą ani sławy ani zysku spodziewać się dla siebie nie mogą.

Najsłabiej przedstawia się w piśmiennictwie ludowem dział książeczek, popularyzujących naukę. Pod tym względem Warszawa i Galicya stanowczo nas wyprzedziły, i tu i tam bowiem pojawia się w tym kierunku dużo rzeczy znakomicie pisanych i świadczących o znajomości umysłów prostych. — U nas widzi się wprawdzie w czytelniach książki o hygienie, chemii, ekonomii politycznej traktujące, lecz autorowie ich albo wcale do ludu przemawiać nie zamierzali, albo też, nie umiejąc zniżać się do jego poziomu, całkiem niezrozumiałym przemawiają dla niego językiem. Same tytuły zresztą odstraszyć mogą: Hygiena, ekonomia, chemia — to wyrazy bez znaczenia dla czytelników tej sfery — a pamiętać trzeba i o tem, że dla nich właśnie tytuł znaczy bardzo wiele. — W tekscie napotykamy takie n. p. zdania: „Twierdzenie zasadnicze co dopiero wypowiedziane stosuje się w porządku ekonomicznym przedewszystkiem do równowagi między przemysłem ekstrakcyjnym a przeróbkowym". Możemy być pewni, że przesylabizowaszy okres powyższy czytelnik zamknie książkę i odłoży ją na bok.

Popularyzowanie nauki nie jest rzeczą łatwą; należy się ile możności w wyborze wyrazów ograniczać używając tylko takich, któremi lud się posługuje, przechodzić od zjawisk prostych i znanych do mniej zwykłych i więcej skomplikowanych, wyprowadzać wnioski z faktów częstych i pospolitych itp. — U nas pole to prawie całkiem odłogiem leży, a przyczyny tego zaniedbania są różnorodne i tkwią może głębiej niż się zdaje. Wszyscy prawie Polacy pruskiego zaboru naukę pobierają w języku niemieckim, ztąd też, gdy chodzi o wykład nabytych wiadomości po polsku, spotykają niemałe językowe trudności. Jeśli zaś trudno im przemawiać w tych kwestyach do ludzi intelligentnych, którzy i cudzoziemskie wyrażenia pojmują, to o wiele trudniej dać się zrozumieć prostaczkom, dla których wyrazy i definicye staranniej jeszcze i umiejętniej dobierać należy. Nie to jest jednak jedyną

przyczyną. — Sądzę, że wprost poczucie potrzeby oświaty dla ludu nie jest jeszcze u nas dość silnem, że tam gdzie tendencye polityczne nie grają żadnej roli, nauczanie prostaczków jest nam mniej więcej obojętnem, a wreszcie — niech mi będzie wolno i to spostrzeżenie śmiało objawić — że poziom naszej intelligencyi ogólnie biorąc jest dość nizki, a zapałem dla nauki się nie odznaczamy. —

Nie przeczę, że i w naszem społeczeństwie mamy ludzi głęboko wykształconych, że prawdziwie inteligentnych i myślących istnieje pewna nieliczna stosunkowo garstka, jednakże ogół, większość t. zw. intelligencyi ceni naukę głównie jako środek zdobycia kawałka chleba, a za cel studyów uważa nie umiejętność samą, lecz patent i stopień. Obojętni dla własnego wykształcenia, chłodno też praktujemy oświatę ludu. Różnica między naszym a jego umysłowym poziomem staje się coraz mniejszą, lecz dzieje się to raczej z naszą stratą, niż z jego korzyścią. Stosunki te bezwarunkowo wymagają reformy, lecz od czego zacząć? Zbudzić żywszy ruch na polu oświaty ludowej, czy podnosić poziom umysłowej inteligencyi? Sądzę, że jedno z drugiem iść może równolegle, a raczej, że jedno bezwarunkowo drugie wywoła. — Czynne zajęcie się sprawą wydawnictw ludowych pociągnie za sobą nieuchronnie żywszy prąd myśli u ogółu, a to znów ze swej strony zrodzi gorętsze pragnienie oświaty dla ludu. —

Inicyatywę podjąć tu powinno Towarzystwo czytelni ludowych. Zamiast ograniczać swą działalność na zbieraniu składek, zakupywaniu książeczek i rozpowszechnianiu takowych, rozszerzyćby ją powinno uzupełniając popularne piśmiennictwo w tych kierunkach, w których brak odczuwać się daje. — Należałoby w tym celu prowadzić dokładne wykazy dziełek w ruchu księgarskim się znajdujących, wydawać katalogi uwagami krytycznemi zaopatrzone, a zebrany w ten sposób materyał porównać, zestawić i wykazać, co na tem polu najważniejszego do zdziałania pozostało. — Wnioski takie należałoby publikować, ogłaszać konkursy na napisanie dziełek, których brak odczuwać się daje, zachęcając autorów do pracy, jaka w danym razie najpożyteczniejszą się okaże.

Naturalnie wskutek tej reformy przybyłoby członkom Towarzystwa tak wiele pracy, że może w obecnym składzie podołaćby jej nie mogli, dla tego też powinnyby wzmocnić swe szeregi nowemi siłami. Dałoby się to niewątpliwie przeprowadzić, gdyby wstęp do Towarzystwa otworzono dla kobiet — mniej przeciążonych publicznemi obowiązkami niż mężczyźni. Niewątpliwie okazałyby się w tym kierunku bardzo pożytecznemi pracownicami. Każda z nich ma dosyć styczności z ludźmi niższej sfery i poznać ją może choćby przez codzienne stosunki z własną służbą, każda też nieomal zajmuje się jakiemiś dobroczynnemi sprawami, które jej w położenie i warunki bytu warstw niższych wniknąć pozwalają. — Nasze panie i panienki zyskałyby przez to ważne pole działania, na którem z ogólnym pożytkiem mężom i braciom pomagaćby mogły. Zmiana taka nie byłaby zresztą bezprzykładną nowością, wszędzie prawie, gdzie kobiety do pracy społecznej się przykładają, oświata ludu wiele im zawdzięcza, a i u nas nawet mamy spory zastęp autorek na polu piśmiennictwa popularnego zaszczytnie znanych. Jeśli więc udaje im się pisać — dla czegóż nie miałyby rzeczy już napisanych umiejętnie oceniać, starannie wybierać i gorliwie rozpowszechniać? Sprawa zyskałaby na tem niewątpliwie, zyskałyby również obie połowy naszego społeczeństwa, gdyż wspólnie i łącznie działając, poznawałyby się wzajemnie lepiej i głębiej spotykając się nie w sztywnym nastroju ceremonialnej wizyty, nie w sztucznem oświetleniu balowej sali, lecz tam, gdzie charakter człowieka odsłania się w całej pełni, w słonecznym blasku prawdy — przy pracy.

I. Moszczeńska.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA

Kraków, 1 stycznia.

(Śmierć Rodakowskiego. Co się stanie z dyrekcyą Szkoły Sztuk Pięknych? Biedni „panowie.“ Rozwiązanie Czytelni akademickiej.)

Podając przed dwoma tygodniami kilkanaście dat biograficznych, tyczących się karyery artystycznej Rodakowskiego, nie sądziłem, że piszę z góry jego nekrolog dla Czytelników „Przeglądu.“ Nic nie zapowiadało tak prędkiego końca człowieka pochylonego wprawdzie laty, ale silnego, czerstwego, pełnego jeszcze energii i życia. Zaziębił się na parę dni przed Bożem Narodzeniem, wigilię spędził w łóżku, a w trzy dni później (28 grudnia) o godzinie pół do 4tej nad ranem zakończył swój żywot zasłużony. Pogrzeb jego odbył się 30go grudnia. Jak na Kraków, który po śmierci oddaje cześć tylko głośnym i rozreklamowanym wielkościom, lub też ludziom „własnym,“ udział publiczności był wcale liczny. Nie było wprawdzie straży ogniowej, patryotyczni sokoli nie czuli się w obowiązku wystąpić gremialnie na pogrzebie tego, co pierwszy sztukę polską rozsławił po świecie, nie grała i patryotyczna „Harmonia,“ nie widziano tłumów patryotycznej młodzieży, nawet wieńców nie raczono nieść za trumną, lecz dla wygody powieszono je na karawanie, ale bądź co bądź pogrzeb należał do liczniejszych, co po części zawdzięczać należy i temu, że zmarły miał dwóch braci jenerałami i rozgałęzione stosunki rodzinne wśród pół-arystokracyi galicyjskiej. Przy wyprowadzeniu ciała z domu przemówił krótko, ale dobrze, wiernie charakteryzując zmarłego, prof. Maryan Sokołowski.

Niespodziewana śmierć Rodakowskiego wywołała szczery żal nietylko w gronie jego przyjaciół, ale i wśród tych wszystkich, którzy byli w stanie zrozumieć pierwszorzędne jego zasługi, jakie położył przez wzniesienie naszej sztuki na wyżyny europejskie. Do żalu tego przyłączył się i drugi żal: za człowiekiem, któremu właśnie nadarzała się sposobność kształcić młode pokolenie artystów. Sam on już skończył swoją karyerę artystyczną, ale jako dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych mógł otwierać karyerę innym. Sam mistrz w pewnym względzie niezrównany, należał do tych wyjątków, którym dane było zapoznać się z całą przeszłością sztuki europejskiej i ze wszystkiemi jej nowoczesnemi kierunkami. Wykształcony, pełen smaku, trzeźwy w poglądach artystycznych, nieuprzedzony do pewnych kierunków, był jakby stworzony na przewodnika młodzieży, poszukującej tajemnic odtwarzania piękna plastycznego.

Kogo po Rodakowskim upatrzy minister oświaty na dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych, przewidzieć niepodobna. Wybór będzie bardzo trudny, ale trudności tego rodzaju są zawsze bardzo na rękę rządowi austryackiemu. W systemie jego oszczędności niepomierną gra rolę zgon wyższych urzędników wszelkiej kategoryi, nietylko bowiem zaoszczędza się przyszła emerytura, ale odnosi się bieżącą korzyść w odwlekaniu nominacyi ich następców. Przez śmierć Matejki zaoszczędził sobie już rząd około 3000 złr. Chociaż nominacya Rodakowskiego zdecydowana już była od trzech miesięcy, to jednak nie ogłoszono jéj, bo nie ma czego się spieszyć, a pensyi się nie wypłaca.

Śmierć Rodakowskiego odwlecze znowu obsadzenie stanowiska dyrektora, jeżeli nie na rok cały, to przynajmniej na pół roku — i znów p. minister skarbu zarobi parę tysięcy dla państwa austryackiego. Mniejsza byłoby o ten zarobek na wskroś niemoralny, gdyby nie łączył się on ze szkodą szkoły, a co za tem idzie i sztuki. Imię Matejki pomimo wszelkich nieporządków w szkole istniejących i szczupłości jej uposażenia, było bądź co bądź magnesem, który ściągał młodzież artystyczną do Krakowa. Szło wprawdzie coraz gorzej, ale szło. Obecnie każdy miesiąc przynosi nowe symptomy upadku szkoły, a jeżeli p. Madejski długo ociągać się będzie z nominacyą dyrektora, to ten nowy dyrektor może zastać gmach, ławki, sztalugi, odlewy i manekiny, ale nie zobaczy uczniów, a przynajmniej ujrzy ich tak mało, że będzie musiał na nowo tworzyć dopiero szkołę. Smutny ten stan powinniby wziąść do serca ludzie mający wpływ na p. ministra oświaty i przedstawić mu, że nie wypada, aby za rządów ministra-rodaka upadło to jedyne ognisko sztuki polskiej, tej sztuki, co w ostatnich czasach tak świetnie wystąpiła na artystycznej arenie europejskiej.

W ogóle koniec roku ubiegłego odznaczył się rozmaitemi upadkami i rozwiązaniami różnych instytucyi.

Musi widocznie upadać galicyjski „klub jazdy panów“ kiedy się zgłosił do naszej Rady miejskiej z prośbą o wyznaczenie na przyszłe wyścigi nagrody miasta Krakowa. Zdawałoby się, że jeżeli „panowie“ chcą się bawić w skakanie i łamanie karków na błoniach krakowskich, to koszta tej zabawki sami pokrywać powinni, zwłaszcza że i tak mieszkańcy Krakowa przyczyniają się się do pokrycia tych kosztów, kupując bilety wstępu na pańskie widowiska. Czy Rada uwzględni prośbę klubu, dowiemy się zapewne na jednem z bliższych posiedzeń. Zdaje się jednak, że ma zamiar traktować ją humorystycznie, czego dowodem, że odesłała podania klubu do sekcyi . . . . szkolnej. W sekcyi tej zasiadają dr. Asnyk, prof. Stan. Tarnowski, oraz inni radzcy, do których należy opieka nad szkołami krakowskiemi. Ciekawa rzecz, kto z tych radzców od głów ludzkich, będzie referentem w sprawie nóg końskich.

Upadła a raczej rozwiązaną została Czytelnia akademicka. Zdarza jej się to nie po raz pierwszy, co parę lat bowiem jest rozwiązywaną i na nowo jak feniks powstaje z popiołów. Tym razem winą jej było, że rozesłała w bardzo skromnych wyrazach zredagowane oświadczenie, iż według jej zdania w r. 1895 jako w roku żałoby narodowej powinna młodzież wstrzymać się od zabaw publicznych. Namiestnictwo twierdzi i to całkiem prawnie, że uchwałą tą przekroczyła Czytelnia zakres swojego statutu. Ale nie wszystko, co prawne, jest zarazem logiczne, a dawno już starożytni powiedzieli: *summum ius summa injuria* — i gdyby wszystkie drobne nieprawidłowości, dostrzeżone okiem władzy, były przez nią ścigane, to żadna instytucya utrzymać by się nie potrafiła, a połowa ludności zajętą byłaby ciągłem wyciąganiem pieniędzy z woreczka na opłacanie wszelkiego rodzaju grzywien. Nie ma zapewne ani jednego Towarzystwa resursowego w Galicyi, a Czytelnia przecież do takich Towarzystw należy, któreby się nie zastanawiało nad tem, czy wypada tańczyć w r. 1895 — trzebaby więc je wszystkie rozwiązać, bo każde przekroczyło zakres swych statutów. Gdyby uchwała Czytelni skierowaną była przeciw tańczącym, gdyby wskutek niej wyniknąć mogły jakie nieporządki, gdyby wreszcie wyrażoną była w słowach nieumiarkowanych i drażniących, to rozwiązanie jej mogłoby logicznie być usprawiedliwione. Ale tego wszystkiego nie było, a więc postanowienie władzy uważać należy za zbytek gorliwości, za prostą przyczepkę. Dziwna rzecz, jak po tylu smutnych naukach nie możemy nigdy zdobyć się na umiejętne postępowanie z młodzieżą. Zdaje nam się, że ciągłemi zakazami, ciągłem wzywaniem na pomoc policyi wykorzenimy w niej resztki zapału, a tymczasem postępowaniem tem tylko ją draźnimy, sami wywołujemy niezadowolenie i opozycyę. Jeżeli u kogo to u dzisiejszej młodzieży nie potrzebujemy się obawiać gwałtownych wybuchów patryotyzmu. Młodzież przepędzająca wieczór 29go Listopada w cyrku, jak to świeżo miało miejsce w Krakowie, jest już tak grzeczna, tak lojalna, że doprawdy tylko cieszyć się należało, iż skromnem oświadcze-

niem o zabawach dała poznać, iż na dnie jej duszy są jeszcze jakieś iskry nie całkiem zagasłe.

K. Bartoszewicz.

Listy z Niemiec.

Berlin, w grudniu.

(Rozprawa w Fuchsmuehl. — Kulturtraeger w Afryce.)

W Bawaryi jest wioska, której nazwisko — Fuchsmuehl — obiega już od kilkunastu dni prasę niemiecką i inną. Kilkadziesiąt chałup i las okoliczny, zwykłe tło obrazu wiejskiego, podniesiono do wysokości prawdziwie historycznej, a przeszło tysiąc ludności — dotychczas nieznanej, niedostrzeżonej przez reporterów, wyszrubowano do godności prawdziwych aktorów dramatu.

Gmina Fuchsmuehlu posiadała odwieczny serwitut w poblizkim lesie, obecnie należącym do barona von Zollera. Były to nędzne szczątki dawnych dóbr, w znacznej części podstępnie wydartych ludności rolnej. „Historyczny rozwój“ przekazał dawne serwituty leśne samowoli jednostek: rycerzom, kościołom i klasztorom, wreszcie państwu, które w tych razach zwykle występowało jako jednostka. Z dawnych własności pozostawały z czasem tylko strzępy: serwituty pastwiskowe, leśne; prawa wybierania drzewa, grzybów itd. I te jednak nie ostały się wszędzie przed wszystko pochłaniającą chciwością możnowładzców. Tylko gdzieniegdzie — wśród tegoczesnej fali rozwoju — napotkać można owe żywe wspomnienia przeszłości i bezprawia; gdzieniegdzie, to znaczy i w Fuchsmuehlu. Już od lat trzydziestu toczył się spór gminy z baronem o jej prawo leśne. Sądy niegdyś rozstrzygnęły ten spór na korzyść gminy i do r. 1892 ludność bez żadnych przeszkód zaopatrywała się w drzewo na zimę. Pewnego dnia przyszło baronowi na myśl odkupić prawo ludności za sumę ryczałtową 90 tysięcy marek, co stanowi zaledwie połowę istotnej wartości. Chłopi nie przyjęli propozycyi — i tutaj rozpoczyna się właściwa wojna. Baron zamknął las, wyciął drzewa na sumę 300 tysięcy marek — i wytoczył proces przeciwko „upartemu, głupiemu Michałkowi“ (der dumme Michel — tytuł chłopa niemieckiego). W pierwszej instancyi wygrał, ale Izba apelacyjna w Norymberdze osądziła rzecz na korzyść włościan i uznała ich prawo za niewzruszone. Zoller odwołał się do sądu kasacyjnego. Dodać musimy, że pan baron jest sam członkiem sądu krajowego w Monachium, a jednocześnie bratem wszechmożnego w Bawaryi szefa tajnej kancelaryi regenta bawarskiego i... najwyższy sąd zgodził się na żądania możnego ziemianina. Oburzenie wśród chłopów przybrało wielkie rozmiary. Już poprzednio zwracali się oni kilkakrotnie do leśniczych o pozwolenie zabrania drzewa na zimę, gdy to jednak nie pomogło, pewni swego prawa, postanowili działać bez pozwolenia. Pamiętali, że przed kilkunastu laty był u nich taki sam wypadek, że wtedy sąd uznał, iż postępowanie ich na karę nie zasługuje. Z burmistrzem na czele udali się w liczbie 300 ludzi do lasu. Prośby i groźby administracyi leśnej nie wypłoszyły ich ztąd, odwołano się do pomocy wojska. Pięćdziesięciu sprowadzonych żołnierzy zwróciło się do chłopów z żądaniem ustąpienia z placu; ci nie zrozumieli nawet języka urzędowego i oczywiście nic nie odpowiedzieli; wtedy po upływie sześciu minut (czas urzędownie stwierdzony), wojsko rzuciło się na bezbronnych: dwuch starców zostało na polu „bitwy“, 30 osób ranionych, między niemi brzemienna kobieta; jeden włościanin otrzymał cztery ciosy w głowę, drugi 17 ukłuć bagnetowych itd. Wszystkie rany były zadane w plecy, znęcano się nad uciekającymi. Po takiem bohaterstwie przyjmowano „chwałą okrytych żołnierzy“ na zamku; główny leśnik oświadczył, że zbieraniu drzewa nie stoi nic na przeszkodzie itd. Na miejscu, rzecz jasna, zapanowała cisza. Ale inaczej w prasie! Wszystkie pisma niemieckie bez różnicy barwy i wyznania zawrzały oburzeniem i grozą na haniebny postępek i samowolę barona. Organy zachowawcze, pół i całkowicie urzędowe, uderzyły na alarm: być może w żadnym czasie wrzawa ta nie byłaby tak silną, jak w obecnym. Caprivi padł, a wraz z nim kilku ministrów, podciętych mściwą kosą rolników nadłabskich. Pisma, a za niemi i całe Prusy, żyły przez kilkanaście dni w ciągłym niepokoju. Prasa więc, nawet konserwatywna (ale nie ziemiańska) pytała, czy to właściwie przeciwko junkrom nie należy stosować praw wyjątkowych, z powodu których musiał kapitulować Caprivi. Oni bowiem stoją na czele żywiołów przewrotu: „nietylko „z góry“ — gdzie łamią ministrów, ale i „z dołu“ — gdzie, jak w Fuchsmuehlu, prowadzą najwyraźniejszą agitacyą wśród chłopów na rzecz demokracyi społecznej...“ Zdaje się, że i sejm bawarski skosztuje tego cuchnącego pasztetu chciwości i bezprawia.

Przyjrzyjmy się obecnie drugiej perełce, którą spieszę nawiązać na mój sznur sprawozdawczy. Mamy na myśli osławioną sprawę dahomejsko-niewieścią kanclerza Leista. Jeżeli mówimy tutaj o owym „bohaterze“, to czynimy to nie dla tego tylko, że wyższa instancya podda rewizyi wyrok sędziów poczdamskich, że zajmować się nią będzie na sesyi najbliższej parlament i że jedno z pism tutejszych ofiarowało kanclerza Leista na miejsce opróżnione przez Capriviego, uznając go zupełnie odpowiednim na to stanowisko — ale dla tego przedewszystkiem, że dzięki tej sprawie posiedliśmy dwa niezmiernie ważne dokumenty. Jestto na pierwszym planie sam wyrok sądu.

Wiadomo, że działacza powyższego sądzono za dwa przestępstwa: 1) że 15 grudnia 1893 roku brutalnie ukarał żony żołnierzy dahomejskich i wywołał powstanie tych ostatnich i 2) że dopuścił się w drugiej połowie 1893go r. zbrodni gwałtu na wielu kobietach, zamkniętych w więzieniu kameruńskiem. Sąd poczdamski uznał winę przestępcy tylko w drugim wypadku i skazał go na zmniejszenie pensyi o jedną piątą. Tę stronę sprawy pozostawić należy wyższej instancyi sądu, a my przyjrzyjmy się niektórym ustępom wyroku. Oto co np. czytamy o stanowisku prawnem żołnierzy dahomejskich. „Pierwotnie byli oni niewolnikami, których zdobył w swych pochodach Behazin, a zmarły pułkownik Gravenreuth wykupił w r. 1891ym i zamierzał użyć ich do ekspedycyi w głąb Kamerunu. Ci wyzwoleni w liczbie 300 z żonami zawarli ze swym „wybawcą“ umowę, na mocy której zobowiązali się służyć przez lat pięć w Kamerunie do wszelkiej pracy za wikt i ubranie; przytem dodano sumę wykupną 320 marek za mężczyznę i 280 za kobietę, jako z góry uiszczoną płacę roboczą za pięciolecie. Połowa z nich prędko wymarła z wycieńczenia, kilkudziesięciu zabrano do szeregów policyi kameruńskiej, przyczem nie płacono im nic, podczas gdy inni żołnierze otrzymywali 30 marek żołdu miesięcznego“. Trzydzieści marek miesięcznie stanowi za pięciolecie 1,800; tymczasem dahomejczykom liczono za nie tylko 320! Tak wygląda między innymi praktyczny chrześcijanin pruski pod niebem afrykańskiem. Dalej wyrok mówi: „Ażeby zmniejszyć różnicę w żołdzie i uczynić ją mniej dotkliwą, żołnierze dahomejscy otrzymali od rządu kobiety dahomejskie w dużej ilości, których żywieniem zajmowała się władza. Korzyści, jakie ztąd ciągnęli były tego rodzaju, że przedewszystkiem nie potrzebowali ponosić zwykłych wydatków na kobiety (zkąd mieli brać środki na to?!), ale wedle zwyczajów tubylczych mogli zdobywać niewielkie zarobki, ofiarując swoje żony bezżennym żołnierzom“. Podobną „ofiarność“ karze niemiecki kodeks karny ciężkiem więzieniem.

Tak wygląda pierwszy dokument, z którego wniosek wyprowadzić należy ten chyba, że wraz z kanclerzem Leistem na ławie oskarżonych zasiąść musi cały zarząd kolonialny. Ale pan Leist pozwolił się interwiewować reporterowi pewnego dziennika lipskiego. Przy tej sposobności usłyszeliśmy zabawne rzeczy. I to jest nasz drugi dokument: Pan Leist twierdzi, że klimat kameruński oddziaływa tak fatalnie na nerwy, że wobec tego poczytalność i odpowiedzialność zmniejsza się znacznie. „Oficer pruski, chory na febrę, kazał się nosić w hamaku i strzelał z rewolweru do dzikich. Nie ukarano go, co najwyżej odwołano, gdyż był chory. Dziwna rzecz, że znęcają się obecnie nademną za mój domniemany „szał erotyczny“. Każdy przedemną postępował tak samo, wszak mamy między dahomejkami t. z. „niemki“ a nawet „żonę“ nieboszczyka Gravenreuth'a. Postępowanie moje nie czyniło żadnego wrażenia na miejscu: misyonarze bywali u mnie wraz z rodzinami i siostry miłosierdzia (Diakonissinnen) nie uważały towarzystwa mego za ubliżające dla siebie. W pobliskiej kolonji francuzkiej dzieją się rzeczy stokrotnie gorsze, a kiedy misyonarz pewnej niedzieli wspomniał w kazaniu o niecnem postępowaniu oficerów — ci wyszli z kościoła i... misyonarz musiał wrócić do Francyi. Całe niezadowolenie dzisiejsze powstało z agitacyi syna króla Bella-Alfreda Bella. Ten od czasu, jak wrócił z Niemiec, jest skończonym socyalistą i nie opuszcza najmniejszej sposobności rozbudzania niezadowolenia śród swych czarnych pobratymców. On to pisał na mnie skargi w sprawach kobiet dahomejskich, on przekonywał żołnierzy, że należy im się większa płaca...“ Tak brzmi obrona kanclerza Leista, która chyba nie potrzebuje omówień...

Zen. Por

Wolne głosy.

Na rocznicę.

Od czasu, kiedy z karty Europy zniknęły geograficzne Polski granice, kiedy nas ościenne między sobą rozdzieliły narody — prawi, a miłujący kraj swój wraz z całą jego przeszłością Polacy, objawiali nieprzerwaną łączność tejże ukochanej dziejów przeszłości z dopełnionym co dopiero całym wiekiem niewoli, — łączność silną a nierozerwalną — pieczętowali ją ofiarami z krwi i mienia — dokumentowali po tyle razy, ilekroć wspomnienie wypadków historycznych nakazywało im święcić rocznice dziejowe.

Jubileusz wiekopomnej dla oręża polskiego Odsieczy Wiedeńskiej, oraz święc na co dopiero mniej radosna, lecz stokroć sercu każdego syna Ojczyzny droższa i świętsza pamiątka pierwszego Powstania Narodowego, oto ostatnie święta rozgraniczonego, a jednak zespolonego narodu.

Dzisiaj niestety rozpamiętywać nam przychodzi najsmutniejszą ze smutnych rocznic całej Ojczyzny żywota — rozpoczynamy rok setny ciężkiego, do nowego samodzielnego życia wiodącego boju, rok setny twardej szkoły nieszczęścia i dopustów Bożych, jakich kresu jednak Opatrzność zaznaczyć nam nie omieszka. Na wspomnienie dziewięćdziesiątego piątego roku każde serce bólem się ściska, głowa chyli w skrusze upokorzenia i żalu — lecz usta szepcą żarliwe słowa ufności promiennej, ramiona do wytrwalszej jeszcze wyciągają się pracy.

To też ku okazaniu naszych uczuć na znak widomy tej uroczystej rocznicy, postanawiamy wstrzymać się w ciągu całego roku tego od wszelkich publicznych zabaw hucznych i wesołych — a zgromadzać się bądź w teatrze bądź na salach odczytowych, aby podnosić się na duchu wzajemnie i zagrzewać do dalszej pracy nad dobrem Ojczyzny. Nadto pragniemy ku uwiecznieniu tejże rocznicy stworzyć inny jeszcze widomy znak żywotności naszej, bądź to poparciem dotychczasowego obywatelskiego działania, bądź stworzeniem nowego narodowego dzieła i w tym celu prosimy wszystkie Polki dzielnicy naszej, aby myśl naszą poprzeć i nad dalszem jej przeprowadzeniem pracować zechciały. —

Ufamy mocno, że i najmłodsze z pośród nas

nie zapomną o tem, że odrębnym przywilejem każdej Polki jest i zostanie na zawsze świeżość uczuć, śmiały polot ducha i gorąca cześć dla niezmiennych a najświętszych ideałów naszych.

W rocznicę podpisania rozbiorowego traktatu przez Rosyą i Austryą.

Grono Wielkopolanek.

NA WYŁOMIE.

(„Nasze Rady“ i „Nasze prośby“. Z kosza dziennikarskiego. Straż pożarna. Akcya kobiet wielkopolskich.)

Pojawiają się niekiedy w „Dzienniku Poznańskim“ na pierwszej stronnicy artykuły, dotyczące palących kwestyi domowych. Treścią swoją i lokacyą na honorowych miejscach politycznego organu zdają się one upraszać czytającą publiczność o wyjątkowy szacunek, napełniając ją nadzieją, że tu właśnie odkryje najcenniejszy towar dziennikarskiego magazynu, najszlachetniejszy i najwytworniejszy owoc redakcyjnego rozumu i artyzmu. A jednak, podobnie jak u stołu biesiadnego na pierwszych miejscach nie zawsze zasiadają najwybitniejsze umysły i talenta z grona uczestników, lecz często prezydyalne krzesło tylko najstarszy wiekiem otrzymuje, tak i tu nikt z czytelników łudzić się nie powinien, że w artykule wysuniętym na honorowe stanowisko znajdzie najdoskonalszy wytwór publicystycznych zdolności — najczystszy szampan z redakcyjnej winnicy. Marka zewnętrzna — Veuve Cliquot na etykiecie, — to złudna dekoracya. Skosztuj napoju, a znajdziesz niekiedy, zamiast perełkowych wyrobów szampańskich, słodkawą wodę z musującym proszkiem.

W kałamarzu feljetonowym nagromadziło się, jak widzę, mnóstwo porównań i analogii, ale mam bezustanne uczucie, że głos ich bezdźwięczny nie określa dokładnie przedmiotu krytyki mojej. Ot n. p. szampan i woda sodowa! Nie myśl czytelniku, że stosunek tych płynów odpowiada wszechstronnie proporcyi prawdziwie literackich artykułów nad linią a wzmiankowanych wyrobów „Dziennika“ pod linią. Gdyby te wszystkie „Rady“ i „Prośby“ zawarte w Nr. 3 najpoważniejszego organu prowincyi naszej, były przynajmniej wodą musującą, nie kusiłbym się zaiste o analizę takiej dość zwyczajnej tandety dziennikarskiej, ale artykuły te są istotnie pod względem stylu, układu i argumentacyi czemś tak niezwykłem w dziejach prasy poznańskiej i taką sygnaturą umysłowej bezsiły, że mimowoli dręczy mnie pytanie, czy ktoś dla zniesławienia „europejskiego“ dziennika nie podrobił kilku numerów i, ustroiwszy je w podarte buty i fałszywe ordery, nie nadesłał wspaniałomyślnie redakcyi „Przeglądu“. „Biegnij famulusie! Kupuj inny numer!“ Chłopak idzie i wraca — mistyfikacya okazuje się fałszywem przeczuciem. Rzecz dziwna istotnie! Ten sam organ, który z miną profesorską strofuje antisemicki „*Postęp*“ o dziennikarską impotencyą, zamieszcza na zaszczytnem miejscu takie dziwolągi stylowe, jakich w żadnem z poznańskich czasopism nie znalazłem nigdy. Być może, że artykuły „Kuryera“ lub „Orędownika“ raziły mnie niekiedy więcej tendencyą swoją i treścią, ale bądź co bądź forma tych fabrykatów zaleca się zawsze literacką rutyną i nie grzeszy potworną budową oraz banalną argumentacyą „Naszych rad“ i „Naszych próśb“. Artykuliki te odbijają zresztą od innych towarów „Dziennikowego“ magazynu w sposób tak rażący, że trudno zaiste pojąć, dla czego redakcya w oknie wystawnem prezentuje utwory najsłabszych pracowników swoich, lubo na składzie ma cenniejsze produkta. Przypominam sobie, że niegdyś „Prawda“ warszawska, cytując próby stylowe tych wiekopomnych eloboratów, roześmiała się na całe gardło i gwizdnęła tak przeraźliwie nad uchem prasie poznańskiej, że jeszcze dzisiaj słyszę ten zgrzyt nieprzyjemny, a lokalny mój patryotyzm wije się w kurczach płaczących. Nie chciałbym powtórnie usłyszeć kociej muzyki na cześć „literatury poznańskiej“ i dla tego na progu noworocznym wyśpiewuję redakcyi „Dziennika“ taką „Radę“ i taką „Prośbę“:

Mężu wiedzy i nauki!
Racz zlitować się nad nami,
I gruchocąc pióro w sztuki,
Pisz twój Dziennik — nożycami.

Miałbym wielką ochotę ten sam wierszyk zadeklamować rozmaitym „wieszczom“ i „Tytanom“, których rozbrykany Pegaz wiedzie w gościnę do redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“. Miły Boże! Ileż tam serc rozdartych, ile różanych esencyi, ile przekleństw, żmij, piorunów i innych straszydeł. A jak to wszystko kwili, płacze, grzmi, huczy i wyje! Brrr! strach mnie przejmuje. Posłuchajcie tylko:

„Wy mnie chcecie zmiażdżyć, zniszczyć,
A czy wiecie... ktom ja taki?!
Czy wy wiecie kogo śmiercią
Tak swobodnie karać chcecie?!
Jam poeta!! dusz właściciel!!
I to mnie wy karać chcecie?!
Cha, cha, cha, cha!
Czyż nie wiecie, że miliony
Za mną staną, bronić będą!
Czyż nie wiecie, że szatani,
Święci, duchy i anioły,
Wszyscy za mną w bój polecą!!
Nie zbliżajcie się, bo zgniotę,
Bo rozszarpię na sto części
I rozniosę po przestworzu!

Jezus! Marya! ratujcie! Cóż to za straszny olbrzym! Ten bój apokaliptyczny tak mnie przeraził, że utwór poetycznego Tytana schowałem co tchu w koszu dziennikarskim. *Requiescat in pace*! Ale nie dość tej męczarni. Litościwe nieba na cięższą jeszcze wystawiły mnie próbę. Listowy przynosi mi wonny liścik, z daleka już czuć go opoponaksem, — otwieram i czytam:

„Czemuż ty o wierzbo płacząca
Jesteś taka milcząca?
Czemuż listek twój nie kwili
Nad tą, którą ludzie zdradzili,
I która w swoim łonie
Żarem miłości płonie,
A ugasić nie ma komu
Ani w świecie, ani w domu!“

Biedactwo! Hej! panowie! zlitujcie się nad tym żarem miłości i — gaście, bo spłonąć gotowa nieboga. Straży pożarnej zresztą nagromadziło się tyle na poznańskim bruku, że chyba gasiciel znajdzie się niebawem. Dowiaduję się nawet, że od pierwszego marca „*Dzien. Pozn.*“ i „*Kuryer*“ zakładają fabrykę sikawek, a prospekty wyrobów swoich rozesłały w noworocznych numerach. Snać nie spodobało się tym panom, że serca pań wielkopolskich nutą serdecznego żalu i wielkiej miłości witały rok nowy, rok narodowej żałoby, — więc dla stłumienia niebezpiecznego pożaru, wylały już w miesiącu grudniu kilka konwi roztopionego śniegu o kolorze brudnym i woni nieprzyjemnej na goretsze dusze, a w dzień Nowego Roku głuchem milczeniem ogłosiły smutną rocznicę stuletniej niewoli. Zapomnij narodzie, że wiek cały męczarni przetrwałeś! Zapomnij narodzie, że i tobie niegdyś świeciła zorza wolności. Zapomnij i trzaskaj hołubce.

„*Roma locuta*“! — być może, ale „*causa finita*“ nie śpiewajcie jeszcze. Idzie prąd nowy i potężny przez polskie ziemie, prąd ten porywa coraz szersze tłumy i wybije godzina, w której samotni osiądziecie na sikawkach waszych. W boju z gasicielami ducha my zdobyliśmy sprzymierzeńców bohaterskich, sprzymierzeńców takich, przed którymi nawet zadrżał kanclerz żelazny: *Kobiety*. Rzucone kości! My w przyszłość spoglądamy spokojnie.

Sulla.

ECHA POZNAŃSKIE.

(Polemika. Wystawa obrazów. Podsłuchana rozmowa. Artysta i krytyka.)

— Nie wierzcie mu panowie, bo to jest rycerz z pod ciemnej gwiazdy, ja zaś jestem człowiekiem uczciwym i piszę prześliczne rzeczy.

— Fałsz wierutny, kochani panowie, jest to osobnik o zgrzybiałej głupocie, nurzający się w kale niegodziwości.

— Widzicie, że miałem słuszność, utrzymując, że to opryszek, to też z serca mu życzę, aby zmarniał.

— A co?... czy nie miałem racyi? nareszcie wszyscy się przekonali, że to dezerter z Kowanówka, który widocznie pod wpływem aberecyi umysłowej, rzuca się na nas jak pies na łańcuchu. Mimo to my zawsze będziemy mieli więcej zwolenników, bo mamy rozum i serce.

Rany boskie — co to jest? To nic! to polemika, wymiana przekonań dwóch naszych organów politycznych, dwóch świeczników narodu. Tylko nie podałem jej wyczerpująco, bo nie chcę być... nieprzyzwoitym.

Powiadają Francuzi: „c'est le ton qui fait la chanson“, ja jednak dalibóg nie wiem, jakim tonem powiedzieć do kogoś: „Na szubienicę durniu!“ ażeby mu osłodzić pigułkę.

Jeżeli ktoś gwałtownie czuje potrzebę wylania swojego gniewu lub oburzenia, a wrodzona krewkość zmusza go aż do użycia podobnych epitetów, czy nie lepiej byłoby zrobić sobie tę przyjemność prywatnie, a nie umieszczać podobnych polemik w łamach pisma, boć przecie ozdobą one [illegible], a ku budowie serca i ducha także nie s[illegible]. A propos serca i ducha, wystawę obrazów w gmachu Teatru poznańskiego otworzono. Naturalnie, że pospieszyłem, aby ocenić należycie rozwój sztuki naszej, a przyznać muszę, że nikt mi nie przeszkadzał i byłem sam jeden, dzięki czemu mogłem się napatrzeć do syta studyom kobiety p. Bakałowicza, nie rumieniąc się wcale. Z początku było mi trochę smutno, gdym zobaczył, że cała wystawa mieści się w jednym saloniku, — no! ale ponieważ widocznie tylko dla mnie ją otworzono, muszę obniżyć wymagania moje. Zwykle będąc na wystawie sztuk pięknych, grzeszę niedyskrecyą i bez ceremonii podsłuchuję rozmowy, układając sobie tym sposobem bardzo wygodnie krytykę. Tym razem wyjątkowo ołówek i notes na nic mi się nie zdały, ale mimo to w celu przekonania czytelników, jak nieraz ocena zwiedzających jest trafną, podaję dysputę, która miała miejsce w Warszawie przed obrazem impresyonisty.

„Co za widok ponury?
Toż rzeczy niepojęte,
Krwi posoką wydęte
Płyną i płyną chmury.
„Cóż to? czy pan zwaryował,
Lub za piecem się chował,
Że się bredni nie wstydzisz?
Gdzież to chmury pan widzisz?
Przecież to okręt płynie.
O! tam majtek na linie,
A tam słońce zachodzi,
Rozumiesz pan Dobrodziej?
„Patrz pan! a to paradne!
A ja bym przysiągł przecie,
No! widzisz panie bracie....
„Obadwaj się nie znacie,
Obadwaj nic nie wiecie,
Więc ja wam wytłomaczę;
Tu matka przed kominkiem
Bawi się z swoim synkiem,
Syn swawoli i skacze.
„A niechże was profany!
Przecież to zboża łany,
A tam, widzicie, w dali
Las niebieski się pali.
Ja się z wami założę,
Niech pan Michał rozsądzi-
„Hm, hm, żaden nie błądzi,
Daję słowo honoru,
Co kto chce, ten mieć może,
Tu wszystko do wyboru.

Na szczęście na naszej wystawie w Poznaniu niema ani jednego obrazu impresyonistycznego i publiczność potrzebuje tylko spojrzeć na

kartkę u dołu, ażeby wiedzieć, co obraz przedstawia. — Nie starajcie się znaleźć w moich słowach ironii. Ja patrząc raz na wystawie warszawskiej na krajobraz, byłem pewny, że widzę „Lato“, — tymczasem później przekonałem się, że to była „pierwsza miłość“ czy też coś w tym rodzaju.

Posłuchajcie!

Zwiedzając pracownię jednego z pierwszych naszych pejzażystów, zachwycałem się górskim widokiem. Snop światła słonecznego z taką rzucony był prawdą, że omal nie włożyłem kapelusza, aby sobie głowy nie przepalić. Gdym z tego powodu wynurzał mój zachwyt malarzowi, odpowiedział mi;

— Rzeczywiście zdaje mi się, że jest w tonie właściwym, ale zobaczysz pan, o ile jaśniejszym będzie, jeżeli tu postawię chłopa lub dziewczynę!

W kilka miesięcy potem, obraz ten wystawiony budził ogólne zainteresowanie. Dziewczyna, którą domalował artysta spotęgowała jeszcze bardziej siłę światła. Zdziwiłem się jednak nie mało, wyczytawszy w jednem z pism następujący artykuł:

„Obraz pana X. musiał pozyskać uznanie. Ileż mieści się tęsknoty w obliczu tej młodej dziewczyny, która widocznie trawi dni w niepokoju za swoim kochankiem, ileż miłości w tych oczach dużych, zapatrzonych w niezmierną dal, ile słodyczy w tych ustach...“ i t. d.

A o słońcu? O blasku? O powietrzu? Ani słówka.

W innej gazecie czytałem:

„Artysta przedstawił nam młode dziewczę, oczekujące swojego kochanka; przyjdzie on tu za chwilę, widać to po wyrazie twarzy na pół smętnej i na wpół radosnej.“

Tymczasem artysta zupełnie nie miał zamiaru poić tęsknotą biednej dziewczyny i rozłączać jej z kochankium, a postawił ją li tylko dla wywołania efektu światła.

Nie ładnie to z jego strony, prawda, ale w każdym razie ubawiłem się dobrze. Oj! krytycy, krytycy! *Ortok.*

KRONIKA LITERACKA.

Biblioteka Warszawska, Grudzień 1894. P. Henryk Struve, wierny swej realistyczno-idealistycznej filozofii w artykule p. t. „Ideały umysłu ludzkiego i ich przedmiotowe uzasadnienie“ kruszy kopię w obronie prawa celowości w przyrodzie.

Kronika galicyjska p. U. wciąż jeszcze poświęcona jest wystawie, tym razem omawia usiłowania podejmowane w celu rozwoju przemysłu przez naukę fachową.

P. Darowski kończy w grudniowym zeszycie „Biblioteki“ swój szkic z dziejów stosunków polsko-moskiewskich w XVII. w. p. t. „Zatargi o starostów pogranicznych.“

P. J. M. w artykule „Kierunek historyczny w ekonomice niemieckiej“ daje streszczenie najnowszych studyów Karola Buchera z dziedziny historyi instytucyi ekonomicznych, a głównie wydanej w roku ubiegłym pracy o powstaniu gospodarstwa społecznego. (Die Entstehung der Volkswirtschaft).

Artykuł p. Hösicka opisuje lata dziecinne Słowackiego (1814—1817). Z beletrystyki znajdujemy w omawianym zeszycie nowelkę M. Radziwiłła p. t. „W jednej izbie“, z poezyi dalszy ciąg z cyklu „Italia“. — M. Konopnickiej.

* * *

„Ateneum“ — Grudzień 1894. P. Wojnarowska podaje wizerunek literacki nowego akademika francuzkiego F. Brunetière, znanego krytyka i profesora.

W artykule p. Smarzewskiego znajdujemy dość pobieżny opis „Wystawy lwowskiej.“

Zgasłemu niedawno historykowi angielskiemu J. A Froude'owi poświęca swój artykuł p. Trepka, stale zaznajamiący czytelników „Ateneum“ z literackim i społecznem życiem Anglii

P. Krzywicki wciąż jeszcze czerpiąc materyał ze swej podróży po stanach zjednoczonych Ameryki północnej, daje tym razem opis uniwersytetu w Chautauqua.

Z innych artykułów wymienić należy dokończenie studyum p. Hosicka p. t. „W Szwajcaryi, okres genewski w życiu J. Słowackiego“ oraz „Biopsychika i Socjologia“ przez B. L. W dziale belestryki znajdujemy nowelę Derwida „Sybarytka“, z poezyi piękne przekłady z Shelley'a przez Nawrockiego.

W dziale sprawozdawczym zanotować należy recenzyą o pracy Dr. Biegańskiego p. t. „Logika medycyny, czyli zasady ogólnej metodologii nauk lekarskich.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne Dzienniki francuzkie zapisują nowy skandal w obszernej księdze „Panamina“. W najświeższym czasie odkryto bowiem olbrzymie malwersacye w zarządzie południowej kolei. W sprawę tę zawikłane są podobno wybitne osobistości z świata urzędowego. — Zarząd Centralnego towarzystwa gospodarczego rozpatrywać będzie na najbliższym swym posiedzeniu projekt radzcy Sobeskiego z Friedeberga, w sprawie tworzenia Spółek drenarskich w W. Księztwie Poznańskiem. — Rozchodzi się pogłoska, że wkrótce ustąpi rosyjski minister wojny Wannowski. Jako następcę jego wymieniają jenerała Obruczewa. — Wiadomość o wizycie ks. Hohenlohego u ks. Bismarka okazała się mylną. — W Toruniu założono Towarzystwo wzajemnej pomocy robotników i rzemieślników katolickich. — Pogłoska o spodziewanem ustąpieniu ks. Hohenlohego z urzędu kanclerza rzeszy utrzymuje się w prasie niemieckiej. Jako następcę wymieniają jednomyślnie hr. Filipa Eulenburga. Walne zebranie Ziemstwa poznańskiego odbędzie się 22go bm. w Poznaniu.

Zjazdy i kongresy. Dnia 10 stycznia rb. odbędzie się w Sremie sejmik powiatowy.

Teatr i muzyka. W czwartek wznowiono w teatrze naszym na benefis p. Wróblewskiej dramat Olneta p. t. „Hrabina Sara“. Beneficyantka zyskała sobie powszechne uznanie subtelną interpretacyą odtworzonej postaci i grą pełną siły dramatycznej. Panna Zimajer w roli Bianki de Cygne miała kilka nader szczęśliwych momentów, ale we wielkiej sceme aktu czwartego uderzał brak nerwu dramatycznego. Pani Jakubowska w roli Magdaleny rozwinęła wiele wdzięku i i sympatycznej filuteryi. Z wykonawców ról mezkich zasługuje na szczególne uznanie p. Sosnowski, a sekundowali mu bez zarzutu panowie Skirmunt, Trapszo i Knapczyński. — Krotochwila p t. „Małżeństwo na probę“ ściąga do teatru lwowskiego tłumy publiczności. Teatr ten wprowadził również na deski swoje orginalny utwór ks. Adama Czartoryskiego p. t. „Kawa“ i „Bakarat“ Leona Madeyskiego. — Najnowszy utwór Sudermana p. t. „Walka motyli“ odegrano w czwartek w warszawskim teatrze Rozmaitości. — Repertuar operetek niemieckich powiększył „Próbny pocałunek“ Millöckera, grany z powodzeniem we Wiedniu.

Zakopane. (Od nasz. kor.) Od czterech tygodni płyniemy w pełnym zimowym sezonie. Góry i regle, dolina cała i szczyty, wszystko pokryte olbrzymią warstwą śniegu. Mróz dochodzi 8 stop. R. i dookoła rozlega się tylko odgłos dzwonków góralskich sanek. Cała przyroda tutejsza przybrała jakaś odświętną postać, jasność, i pogoda panują nieprzerwanie, ztąd też cała liczna zimowo kolonia tutejsza korzysta w pełni z cudów natury zimowej i przepysznych widoków tak odmiennych i oryginalnych od tych, jakich Zakopane w letniej dostarcza porze. Goście ruszają się żwawo, urządzając wycieczki na saukach do doliny Kościelisk, na Gubałówkę i Głodówkę, nie mówiąc już o Morskiem Oku. Tatry skrzą się w grze barw i świateł, a powietrze mimo mrozu takie miłe, wonne, że się je z lubością wciąga w płuca. W zakładzie dra Chramca wre życie i, jakby letnią porą, odbywają się reuniony i wieczorki.

W poznańskim teatrze polskim otwarto wystawę obrazów. Wystawie tej poświęcimy niebawem obszerny artykuł.

Noworoczny numer krakowskiego dwutygodnika **„Świat“** zawiera, oprócz bogatego materyału literackiego, artystyczne reprodukcye obrazów Kotowicza, Janowskiego, Styki, Brandta, Kochanowskiego i Brylla.

P. Leopold Meyet wynalazł w papierach i dokumentach po ś. p. Juljuszu Słowackim sztambuch matki poety, Salomei. Ciekawy zeszyt ten obejmuje liczne zapiski, notaty i urywki, tu i owdzie rzucające światło na stosunki domowe rodziny Słowackich i kult poezyi wśród jej członków. Sztambuch powyższy opatrzony wyczerpującym komentarzem p Meyeta, zamieści „Ateneum“ w jednym z najbliższych numerów.

Berliński „Schauspielhaus“ zakwalifikował do wystawienia sztukę historyczną Ernesta Wicherta p. t. „Im Dienste der Pflicht“. Bohaterem jest żołnierz z czasów Fryderyka I-go. Wiadomo, że sztuka, w której przedstawieni są członkowie domu panującego, nie może być wystawioną bez specyalnego zezwolenia cesarskiego, które jednak nowy utwór Wicherta już uzyskał.

Czasopismo polskie zaczęło wychodzić dwa razy tygodniowo w Bukareszcie p. t. „Wiarus“, organ poświęcony sprawom polskim. Właścicielem i redaktorem jest Ferd. M. Twornikiewicz, utrzymujący także biuro komisowe wyrobów z ziem polskich.

„Kraj“ petersburski zamieszcza w rubryce „Półsłówek“ następujący wiersz sarkastyczny:

Ile i jakich myśmy
Wylali żalu łez,
Kiedy Matejki życiu
Śmierć położyła kres....

Zaledwie rok upłynął
Ot, niby z bicza strzel,
Rok jeden krótki — ale
Die Todten reiten schnell..

W rocznicę nabożeństwo
Odprawia Kraków nasz,
I na nie idzie osób
Aż ośmnaście, aż!..
Gdzież wielka ta żałoba,
Te kiry i ta biel,
Pleśnicią dziś już w kruchcie,
Bo... Todten reiten schnell!...

Ha!... trudno, gdy pamiętać
Tłum nie chce, choćby mógł,
Dla niego widać wszystkiem
Jest tylko krzyk i huk...
A jeśli kto zapyta,
Gdzie pamięć, godność, cel...
Z sarkazmem ci odpowie:
— Die Todten reiten schnell!...

Z teki aforyzmów
Jerzego Płońskiego.

Życie jest ścieżką przez czyściec wiodącą do wielkiego znaku zapytania.

—

Zło ma do [illegible]ie, że wyrzucone gwałtem za drzwi, wybija szybę [illegible] włazi oknem. Wtenczas dopiero jest istotnem zł[illegible]

—

Cnota jest jednem z tych pięknych słów, które, rozrobione na mąkę, wydają chleb dla patentowanych moralistów.

—

Rzeczywistość jest zerem, przed którem dusza każdego stawia własne cyfry. Świat istnieje o tyle, o ile gó widzimy, jest takim jak go widzimy i sięga tak daleko jak widzimy.

—

Kobiety potrzebują tylko porcyi męzkiego serca, podanego na porcelanie z „sauce piquante“ lub pozorów uczucia. Pozory starczą nawet na całe życie, bo ludzie, a zwłaszcza kobiety żyją tylko pozorami serca i charakteru.

—

Zmarli:

Henryk Rodakowski, słynny artysta-malarz, zm. w Krakowie, w ostatnich dniach grudnia. (Bliższe wiadomości znajdą czytelnicy w kronice krakowskiej).

Dr. Ferdynand Źródłowski, prof. prawa rzymskiego na wszechnicy lwowskiej, zm. we Lwowie.

Maksymilian Glücksberg, adwokat i literat, zm. w Warszawie.

BIBLIOGRAFJA.

M. Hagen. Nowele. Lwów 1895, Cena 4,50 mr.

Abgar Sołtan. Z wiejskiego dworu Nowele. Kraków 1895. Cenà 4,50 mr.

F. Hoesick. O Słowackim, Krasickim i Mickiewiczu. Studya historyczno-literackie. Kraków 1895. Cena 4 marki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Bolesław Ch. Zamieścić nie możemy. Radzimy szczerze lutnię zawiesić na kołku.

Karmazyn. Wydrukujemy pod warunkiem, że Szan. Pan zechce artykuł skrócić o połowę. Prosimy o adres, pod którym wysłać mamy rękopis.

Kar. Bliższych wiadomości udzieli pan Dr. Erzepki (Poznań, ul. Wiktoryi nr. 26).

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Za pośrednictwem „Dziennika Poznańskiego“ 7,00 marek.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 682,75 Mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sprostowanie.

W „Kronice powszechnej“ w nr. 40 czytać należy zamiast „Przegląd Wszechświatowy“ — „Przegląd Wszechpolski“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.